№ 29. Warszawa, dnia 5 (17) Lipca 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

LIST PANI SABATOWSKIEJ

rozpoczęty 14 Stycznia, na morzu Śródziemnem za Marsylią, zakończony w Sydnej 1 Marca 1886 roku.

(Dokończenie.)

1 Lutego.

Popołudniu zadął silny wiatr, wszyscy zadrżeli z trwogi, gdyż to pora cyklonów a w tem miejscu właśnie najczęściej przechodzą. Dzięki Bogu skończyło się na strachu. W nocy lunął deszcz, rzekłby kto, że się chmura oberwała.

2 Lutego.

Dziś znów upał nie do zniesienia. Wół padł rażony promieniem słonecznym, jakby uderzeniem piorunu. Przykro patrzyć jak te biedne zwierzęta cierpią. Dzień pogodny, wiatr ucichł zupełnie, ocean gładki jak zwierciadło; statek mimo to buja się mocno i przy tem nie podobna uniknąć choroby morskiej. Wieczorem trochę się ochłodziło. Zachód słońca cudowny. Obłoki przybierają kształty dziwnie fantastyczne. Tu jakiś wóz tryumfalny, uprzężony w olbrzymie chimery, tam starzec z rozczochraną brodą i czupryną ozłoconą promieniem słońca, niby Eliasz wstępujący w niebo; tu znów straszliwe smoki z rozwartemi paszczami, dalej niewiasta zstępuje na obłoku, a tam anieli trąbią jakby na sąd ostateczny.

Tysiąc widziadeł przesuwa się przed oczami, przybierając raz po raz nowe barwy. W pośród nich słońce toczy się jaskrawą kulą, a nieco opodal rozpostarty łuk tęczy, dwoma końcami kąpie się w morzu, które też przybrało kolor ognisty. Żałuję, że nie ma tu poety lub malarza, ileż by to cudnych można utworzyć obrazów. Wtem zapada noc i rozpierzchłe chmurki zbierają się razem, pokrywają cały widnokrąg. Błyskawica tu i owdzie przebiega wężykiem. Wreszcie lunął deszcz, zapędził nas do kajut. Gorąco tam i zaduch nie do wytrzymania.

3 Lutego.

Ruch wielki, dopływamy dziś do wyspy Reunion. Na wielu twarzach radość, na niektórych smutek, łza nawet w niejednem błyszczy oku. Mnóstwo osób opuszcza statek, a przez te kilkanaście dni, zawiązały się różne znajomości, niejedno silnie uderzyło serduszko. Tu młody Kreol z wyspy, co ukończył szkoły w Paryżu, zakochał się w młodej panience Włoszce, która płynie do Sydnej powołana przez bogatą ciotkę: tam znów Australczyk żegna z głębokim żalem wysiadającą Kreolkę. Wiele spostrzegam scen w podobnym rodzaju. W nocy zarzucono kotwicę: rano zgiełk wielki, serdeczne pożegnania. Służba wynosi bagaże. Mnóstwo łodzi podpływa pod statek, zabiera pasażerów i rzeczy. Mamy tu stać do jutra, podróżni wysiadają aby zwiedzić miasto i okolicę. I ja też wysiadłam z innymi.

Miasto St. Denis, stolica wyspy Reunion, jakby jeden bukiet. Każda rodzina zajmuje tu osobny domek i ogród, opasany murem od ulicy. Trotuary wązkie; po obu stronach ulic, najczęściej nie brukowanych, idzie rynsztok napełniony płynącą wodą, zapewne dla odświeżania powietrza. Są w mieście dwa kościoły dosyć ubogie. Z gmachów murowanych, uważałam liceum, szpital, muzeum, trybunał i ratusz, zresztą wszystkie domy drewniane.

Pani de Villeneuve zaprosiła mnie do siebie i zatrzymała na noc. Bardzo to uprzejma i gościnna kobieta. Częstowała mnie kawą tak doskonałą, jakiej nigdy nie piłam jeszcze. Na prośbę moją przygotowano obiad zupełnie na sposób kreolski. Potrawy zastawiają razem na stole, pani domu sama obdziela wszystkich: na spód talerza

kładzie ryż, a na to każdej potrawy po trochu. Była ryba, wieprzowina solona, fasola z sosem bardzo korzennym i ogórki, wszystko to bardzo ładnie ułożone koło siebie. Jedzą tu palcami bez widelców i łyżek, chleb leży na stole. Jako deser dają masło, owoce, arak i wino. Usługiwała przy obiedzie służąca darowana przez księżnę madagaskaru, nadzwyczaj zwinna jak wiewiórka, z plemienia Malgaskiego, twarzy wcale nie szpetnej. I ona dostała swoją porcyą, jadła ją siedząc na podłodze.

Wyspa Reunion przedstawia się bardzo ładnie. Wkoło obrosłe drzewem góry, sięgają pod obłoki, kłęby chmur opierają się na ich szczycie. W dole ciągnie się miasto. Właściwego portu wcale nie ma, okręt staje na pełnem morzu, oparty na kotwicy. Jeźli morze burzliwe, przy wysiadaniu zdarzają się nieraz wypadki. I my także wysiadając na ląd, o mało żeśmy uszli niebezpieczeństwa. Siedzieliśmy już na łódce, kiedy pięć innych podpływając razem do statku, zawadziło o naszą i pchnęło ją pod okręt. Z powrotem mogła smutniejsza jeszcze nastąpić przygoda. Jedna pani z dwojgiem dzieci przypłynęła z nami do statku, przesiadając się z łódki podawała jedno dziecko marynarzowi, który stał na pokładzie, tymczasem fala odrzuciła łódkę od okrętu. Matka w krzyk, my wszyscy za nią, ale woda szumi przeraźliwie, bałwany pluskają nam w oczy. O mało, że matka, dziecko i my wszyscy nie powpadaliśmy razem w morze.

6 Lutego.

Wieczorem popłynęliśmy dalej; dziś jesteśmy na wyspie St. Maurice, dawnej *Ile de France*. Port piękny, obszerny, wygodny. Na przeciwko pałac gubernatora. W porcie mnóstwo ludzi różnej narodowości i różnego stroju a nawet i bez stroju. Ogrody ładne, miasto St. Maurice obszerne lecz nie szczególne. Pojechaliśmy do lasku za miastem, jest tu piękny ogród botaniczny; palmowa aleja prowadzi do pomnika Pawła i Wirginii. Na postumencie z białego kamienia, mnóstwo widać napisów, ja też położyłam nazwisko moje.

9 Lutego.

Po nocnym spoczynku w St. Maurice, 7 go popłynęliśmy w stronę wyspy Adelajdy. Czas piękny ale nadzwyczaj skwarny. Statek zaczyna wyprawiać jakieś figle, kołysze się, aż strach niekiedy bierze, aleśmy już do tego ruchu przyzwyczajeni.

10 Lutego.

Gorąco okropne, żegluga monotonna. Przechadzamy się po pokładzie, z zachwyceniem patrzymy na cudny zachód słońca, bawią nas rybki, których niezliczone chmary pląsają swobodnie po morzu.

11 Lutego.

Klimat zmienił się nagle, po skwarze nastąpił chłód, tak ostry jak u nas w jesieni.

14 Lutego.

Od trzech dni ciągle zimno. Wicher dmie tak gwałtowny, że nie podobna utrzymać się na pokładzie. Poprzytwierdzano ławki i fotele prywatne, przytroczono nawet osoby, inaczej trudnoby usiedzieć. Bawi nas to wszystkich, śmiejemy się, ale siły trochę nas opuściły, w nocy bowiem spać nie można, tak wiatr rzuca łóżkami.

Poznałam się z rodziną Kreolów, która z wyspy Mahe, płynie do Australii. Rodzina ta składa się z ojca, matki i dwóch synów.

Ojciec pan Senzier, ma zamiar nabyć kawał ziemi i zająć się rolnem gospodarstwem. Inna znów rodzina emigruje z Paryża do Sydney w celu założenia fabryki. Pasażerowie składają się z kupców, przedsiębierców i przemysłowców różnego rodzaju. Płynie też z nami gubernator z Numei.

22 Lutego.

Nakoniec po kilkunastu dniach jednostajnej żeglugi dopłynęliśmy do Adelajdy. Jakaż to radość! wszyscy uszczęśliwieni. Otóż i Australia, ta ziemia obiecana, płynąca miodem i mlekiem. Już od wczoraj zaczęły się pokazywać różne drobne wysepki i wybrzeża. Pozostaliśmy tu godzin kilkanaście. Nabrano węgli, zamieniono bagaże i wyruszamy dalej. Adelajdę nazywają prawdziwem królestwem owoców, doskonałych i bardzo tanich.

23 Lutego.

Płyniemy ciągle blizko ziemi, ostrożnie, gdyż od czasu do czasu napotykamy skały.

24 Lutego.

Jesteśmy w Melbourne. O jedenastej z rana wpłynęliśmy do portu, a o pół do piątej dopiero statek nasz stanął na kotwicy.

Port ogromny zajmuje 45 mil kwadratowych (angielskich). Miasto jak wieniec ciągnie się wkoło portu; dziwnie to piękny i malowniczy widok, wieczorem szczególniej, kiedy mnóstwo różnokolorowych świateł, migocze się na lądzie i na morzu.

25 Lutego.

Pojechaliśmy do miasta. Dość ładne i rozległe, handlowy ruch wielki, sklepów pełno. Muzeum obejmuje mnóstwo wyrobów krajowych. W galeryi sztuk pięknych, są niektóre obrazy wielkich rozmiarów i w ogólności dobrego pędzla. Poszliśmy na śniadanie, za 60 centimów dano nam ogromny befsztyk z sałatą, herbatę, chleb i masło. Za powrotem na statek, zastałam list od męża, co mnie nadzwyczaj ucieszyło.

27 Lutego.

Płyniemy od wczoraj, czas piękny ale nasz statek nie statkuje. Całą noc spać nie możemy tak nas mocno kołysze.

28 Lutego.

Dopływamy do Sydnej! zbieramy rzeczy, wszyscy zajęci pakowaniem manatków.

1 Marca.

Już od czwartej z rana jesteśmy na nogach i na pokładzie. Wpływamy nareszcie do portu, prześliczny z żadnym innym porównać go nie można. O godzinie 9, doktor przybył na statek, sprawdził, że nie ma chorych i pozwolił wysiąść pasażerom. Ja byłam jedna z najpierwszych, ponieważ statek nasz opóźnił się z powodu nadpsutej maszyny, przeto nie wiedziano kiedy staniemy w Sydnej, i ja nie zastałam męża w porcie. Wzięłam spiesznie powóz, pojechałam do domu.

O! drodzy państwo! jak mnie się tu podoba! Domek o jednem piętrze, w ogródku. Mąż zdrów, ma kilku chorych, którzy mu dobrze płacą. Służące moje dwie, w atłasowych sukienkach, przy fartuszku. Jedna z nich Polka!

Teraz jesień, powietrze przyjemne, zajadamy kawony i winogrona. Jedyną przykrość sprawiają tu komary, skąsały mnie okropnie. Dotąd jeszcze nie wyszłam na miasto. Obszerne jest i pełne ogrodów. Panie tutejsze bardzo się stroją według mody paryzkiej. Suknie jedwabne i białe panują nad innemi.

Mam nadzieję, że drodzy państwo, napiszą wkrótce do nas. W przyszłym liście opowiem, jakim trybem życie toczy się w Antypodach.

Nie – czy tak?

(F r a s z k a.)

Ah, doprawdy, nie wiem sama,
Czemu we łzach toną oczy,
Czemu tęskno patrzę w dal!
„To przeminie!” mówi mama,
A mnie piersi smutek tłoczy,
I tak czegoś żal mi, żal!...

Może kwiatka?...
Lubię kwiaty,
I gdy uschnie mi rezeda,
Lub opadną listki z róż,
Wziąć bym rada czarne szaty,
Ale... kwiatek szczęścia nie da!
Chyba może.. ah, wiem już:

Wczoraj braciszek był chory,
Pogardził moją pieszczotą,
I dlatego smutek ten.
Mama mówi, że wieczory
Całe, dumam nad robotą,
Że mam niespokojny sen.

Jakieś dziwy wciąż majaczę;
Eh, szczególne przywidzenie,
Przecie każdy człowiek śni?
Może czasem i popłaczę,
Lub mi piersi rwie westchnienie,
Lecz to wina chmurnych dni.

Słońca nie ma, kwiatów nie ma,
Szron bezlistne pruszy drzewa,
Nawet szczygieł smutny coś,
W głębi klatki wciąż się trzyma,
Nie chce cukru i nie śpiewa...

. . . .

Ah, zajechał do nas ktoś!

To Jaś... pan Jan wyrzec chciałam,
Muszę spędzić smutku ślady,
Bo by mu się jeszcze zdało,
Że to jego powrót śnię.
Ah... lusterko zapodziałam...
Z twarzy mi wyczyta bladej,
Że go tak... nie lubię, nie!

I nie cierpię! powiem szczerze:
Nienawidzę!
Pewny siebie,
Jakbym jego była już!
Choćby konał. . nienawidzę,
Miłość w sercu mem pogrzebię.

. . . .

Ah, znów mama! Czujny stróż...
Niechże sama teraz zgadnie,
Kiedy tak w mem sercu czyta.
Ja mu tylko zrobię znak:
Tak, od buzi... zręcznie, ładnie,
A gdy o coś znów zapyta,
Jakże powiem: nie — czy tak?

Zygmunt Grabowski.

BRATKI.

NOWELLA

PRZEZ

HELENĘ.

(Dalszy ciąg.)

Tymczasem na pierwszem piętrze było już jasno i gdy Jerzy spojrzał na trzymany kwiat, po twarzy jego przebiegł wyraz niezadowolenia i zawodu. W ręku bowiem zamiast ponsowego pąku Wiluni, ujrzał białą różę ofiarowaną dziś Herminii. Z gniewem prawie odrzucił od siebie kwiat i wszedł do mieszkania hrabiny Horskiej z małą chmurką na czole, którą jednak uśmiech Wiluni prędko rozproszył.

P. Herminię uważał zawsze za obojętną i dumną osobę, poznał ją niedawno i to wtedy, kiedy już Wilunia, którą ujrzał na pierwszym jej balu, zajęła jego serce. Wydawała mu się oryginalna, trochę za surowa w swych poglądach; w piękności jej nie rozpatrywał się, a przymiotów duszy nie miał sposobności ocenić. Jako jednak ukochanej siostrze swej narzeczonej starał się nieraz robić przyjemności.

Po chwili wszyscy zasiedli w saloniku przy stole z przyborami do herbaty i swobodnie gawędzili. Wilunia z nieopisanym wdziękiem nalewała z eleganckich imbryków chiński napój; Jerzy niby dopomagał jej w gospodarowaniu, a rzeczywiście przeszkadzał tylko ciągłem całowaniem w rączki. Pod wpływem wesołości i śmiechu tych dwojga młodych i szczęśliwych istot, twarz hrabiny przyjęła wyraz mniej smutny i melancholijny i częstszy uśmiech pojawiał się na ustach p. Herminii.

Stosując się do życzenia Wiluni, po herbacie zaczęto się wybierać do parku. Panie pobrały ciepłe okrycia ze względu na wiatr, który od czasu do czasu powiewał, Herminia jak zawsze prowadziła matkę, Jerzy zaś swoją narzeczonę, która ślicznie wyglądała w ponsowej narzutce na głowie.

Była to noc piękna, jasna, gwiaździsta, natura utulona w mgły mroku usypiała powoli, spokojnie i cicho. W parku zupełne panowało milczenie, niekiedy zdala błyskało światełko latarni, lub promyk księżyca ślizgał się po powierzchni liści kasztanów, niekiedy drgało w oddali jakieś echo wieczorne i konało rozwiane w powietrzu. Po alejach przesuwała się młoda para. On i ona, ręka w rękę, oboje piękni i młodzi śmiało postępowali naprzód, jakby w obec promiennej jasności ich duszy nie lękali się żadnych cieni i mroków.

Byli to Jerzy i Wilunia, szli razem zapatrzeni w siebie, szczęśliwi, rozmarzeni, a u stóp ich migotały krople rosy wieczornej, zawieszone na stulonych kwiatów kielichach, a nad nimi świeciła srebrna tarcza księżyca, wolno płynąca po niebios lazurze. Czasem fantastyczne i groźne cienie drzew przerzynały im drogę, jak jakieś czarne, straszne widma, ale oni zdawali się ich nie widzieć. Czy ci młodzi rozkochani i przez życie przejdą tak śmiało i szczęśliwie zwalczywszy wszelkie widma nieszczęść i zawodów, siłą swej miłości, swego przywiązania? Czy zawsze w sobie znajdą dość uczuć promiennych, aby niemi wszelkie ciemne strony życia rozświecić? Czy on zawsze będzie dla niej jak teraz podporą, na której oparłszy się przejdzie przez trudy spokojna i bezpieczna? A ona czy wciąż będzie jego aniołem stróżem, jego tarczą, jego wiarą w doli i niedoli? To kwestya życia, której rozwiązanie niepewne, gubi się w przyszłości. A tymczasem Jerzy i Wilunia wyprzedzając o kilka kroków hrabinę i p. Herminię, używali błogiego spaceru.

Jerzy wpatrzony w swoją narzeczoną, przycisnął silniej jej rękę i zapytał ze wzruszeniem:

— Niezadługo rozłączymy się na czas jakiś, powiedz mi panno Wilhelmino... że mnie kochasz?

— Kocham... — szepnęła cicho Wilunia. Po chwili dodała śmielej — kocham i teraz dopiero wiem co to miłość.

— A przedtem, nigdy pani nie wiedziałaś, co to miłość?

— Nie, kiedym była na pensyi i dawali nam czytać poezye mistrzów naszych, często spotykałam się z tym wyrazem, z bijącem sercem pytałam siebie o jego znaczenie, ale nie umiałam sobie wytłomaczyć tego uczucia, a koleżanki moje nie wiedziały nic więcej ode mnie. Powróciwszy pół roku temu do domu zapytałam raz mamy: co to jest miłość?, a matka moja długo myślała i rzekła: jeżeli chcesz dziecię moje określenia prawdziwej, głębokiej miłości, powiem ci, miłość to poświęcenie! Zdawało mi się, że przytem łza zabłysła w jej oku, nie pytałam więc dalej, ale jej odpowiedź wydała mi się niejasna. A gdym Herminię zapytała o to, rzekła: kochać, to żyć i pracować dla szczęścia drugich, i tegom nie pojęła. Nie wiem dlaczego nie zgadzało się to z mojem usposobieniem, przeczuwałam, że miłość to co innego. Aż raz pamiętasz pan, na moim pierwszym balu na wiosnę, poznałam pana, no i jakoś to się tak prędko stało, że zrozumiałam i odczułam miłość.

— A gdybym panią teraz zapytał, co to jest miłość, jakąż byś mi dała odpowiedź? — zapytał znów Jerzy.

— Miłość — odpowiedziało dziewczę, podnosząc piękne swe oczy w górę — miłość to rozkosz niepojęta, to czarowne upojenie, to jakiś sen błogi, w którym świat cały uśmiecha się do nas, a stworzenie wszelkie śpiewa hymn szczęścia i wesela. Miłość to pasmo chwil jasnych, pędzonych przy boku ukochanego, to kielich słodyczy, podany nam do ust spragnionych ręką drogiej nam osoby, to kwiat cudnej barwy nigdy niewiędnący. Oh! bo wszak tak, panie Jerzy, wszak miłość może trwać życie całe, wszak pan mnie zawsze kochać będzie... jak ja pana na wieki!!

— Na wieki! — powtórzył Jerzy, przyciskając do ust swych z gorączkowem uniesieniem rękę narzeczonej.

— Na wieki! — o nierozważne dzieci, jakże wam łatwo wymówić to wielkie słowo, a jak trudno dotrzymać je w życiu. Uniesieni wrażeniem danej chwili wypowiadacie je z zapałem, a czy wiecie wy, co to przyszłość? będąc w progu życia, czy znacie jego wymagania, jego walki i starcia? Wy nawet sami siebie nie znacie, nie doświadczyliście jeszcze własnych serc, dusze wasze nie przeszły przez ognie próby i oto w dziecięcych prawie latach śmiecie na kartę przyszłych swych dziejów rzucać wielkie słowo „na wieki!”

W chwili, gdy Jerzy i Wilunia przysięgali sobie wieczną miłość, księżyc zaszedł za chmurę, a wiatr gwałtowniej poruszył liśćmi. Oni tego nie uważali, a jednak co to było? Czy to jaki figlarny chochlik zaśmiał się niedowierzającą z rozkochanej pary, czy jaka groźba zagrzmiała nad ich głowami? Nie, to nic nie było, tylko księżyc się schował, tylko wiatr zaszumiał.

Z daleka patrząc na narzeczonych hrabina, która powoli za nimi zdążała, rzekła do Herminii:

— Umarłabym szczęśliwa, gdybyś i ty córko droga, wybrała już sobie opiekuna i męża.

Herminia z miłością spojrzała na matkę:

— Nie mów mi tego matko droga, wszak wiesz, że życie moje nie ulegnie już żadnej zmianie. Czyż mnie tak nie dobrze zawsze być przy tobie i z tobą? Czyż mogę znaleźć serce, któreby choć w części tak kochało, jak ty mnie matko kochasz! O! jam tak szczęśliwa żyć przy twoim boku i o ile to w mojej możności osładzać ci życie i wynagrodzić smutną twą przeszłość! Ja takich używam rozkoszy, pędząc moje chwile w pracy, wśród obowiązków, któreś mnie matko wskazała, wśród skarbów wiedzy i sztuki, któreś mnie kochać nauczyła, że nie wierzę, aby nawet Wilunia mogła być szczęśliwszą ode mnie!

— Może masz słuszność — szepnęła smutnie hrabina — szczęście swe oparłaś na rzeczach, które cię nigdy nie zawiodą. Nie doznasz rozczarowań, nie przejdziesz przez tę straszną walkę zranionego serca, w której kobieta najczęściej traci największe swe zasoby siły moralnej i fizycznej. Przejdziesz przez życie smętna i cicha, pociechą twoją będzie użyteczna praca, osłodą nauka i miłość ludzkości. I tak spełnisz godnie powołanie kobiety.

— Przy twojej pomocy, przy cieple twego serca, przy promieniach światłej twej rady, chcę dążyć do tego wzniosłego celu, matko moja najdroższa.

To mówiąc Herminia z namaszczeniem ucałowała rękę matki, która złożyła na jej czole najtkliwszy pocałunek. Promień księżyca oświetlił w tej chwili siwą i czarną głowę wzajemnie ku sobie pochylone, jakby Bóg sam błogosławił te dwie istoty złączone z sobą najgłębszem przywiązaniem matki, najczulszą miłością córki, prawdziwie „na wieki!”

* * *

Nadszedł dzień, w którym Jerzy i Wilunia mieli się rozłączyć. Od rana już wszystko było gotowe do wyjazdu hrabiny i jej córek, która po 6 tygodniowem leczeniu, miała teraz przez Kraków wrócić do swej wsi Tęczowej do Królestwa. Narzeczeni mieli się zobaczyć za kilka tygodni, a chociaż nie jest to zbyt długi przeciąg czasu, to jednak on i ona byli smutni, czując, że kończy się najpiękniejszy może ustęp z dziejów ich miłości. Przyszłość jest zawsze zagadką, a z przeszłością wiązały się teraz ich wspomnienia wielu chwil roz-

koszy i szczęścia, przebytych u wód czeskich, pośród drzew franzensbadzkiego parku i kasztanowych alei zakładu. Dla pozostania dłużej razem udano się powozem do Egeru, zkąd panie miały odjechać pociągiem popołudniowym. Około godziny trzeciej stanął powóz przed domem „zum schwarzen Adler”, z którego zaczęto wynosić liczne podróżne kuferki i koszyki; w końcu zeszły panie podróżujące, hrabina jak zawsze wsparta na ramieniu Herminii i Wilunia w ślicznym kostyumie, w kapelusiku z ponsowem piórkiem, prowadzona przez narzeczonego.

Skoro panie wyszły przed dom, muzyka sprowadzona przez Jerzego zagrała na pożegnanie tęsknego walca. W niebieskich oczach Wiluni, jaśniały duże perłowe łzy rozczulenia. Siedząc w powozie obok narzeczonego otoczona kwiatami, wsłuchana w coraz odleglejsze tony muzyki, uczuła się dziwnie rozmarzona, chciała, żeby ta podróż do Egeru nigdy się nie skończyła i zdawało się jej, że z wyjazdem z Franzensbadu połowa jej szczęścia zniknie. W Egerze jeszcze parę godzin czekano, w dużej sali wychodzącej na peron całe gronko naszych podróżnych zasiadło.

Narzeczeni ostatnie słowa szczerej pogawędki z sobą zamieniali, tyle jeszcze mieli sobie do powiedzenia, a czasu tak mało, to też uśmiech i spojrzenia były tłomaczami ich myśli. Herminia wyłącznie zajęła się obmyśleniem dla matki, jak najdogodniejszej nocy w wagonie; powyjmowała liczne poduszeczki i szale, aby natychmiast ułożyć hrabinę do snu.

Poważna i spokojna jak zawsze, krzątała się energicznie cała zajęta swoim zamiarem; niekiedy tylko czule spoglądała na matkę, która niewypowiedzianie łagodnie, z miłością prawdziwie macierzyńską do niej się uśmiechała.

Wreszcie szósta godzina wybiła, pociąg zatrzymał się przed stacyą, a na odgłos dzwonka, tłumy osób wysypały się na platformę. Za staraniem Jerzego dano paniom osobny oddział, do którego weszły.

Wilunia ze smutną bardzo minką żegnała narzeczonego, który z rozrzewnieniem całując ją w rękę, obiecywał prędkie do niej przybycie.

— Daję pani słowo — mówił Jerzy — że jutro ztąd wyjadę do Wiednia, gdzie zabawiwszy nie więcej jak dni parę, wrócę do Sieniawy. Tam ucałuję ręce drogiej matki, a potem na skrzydłach przywiązania będę leciał do Tęczowej do... pani... Ale daj mi, p. Wilhelmino, na pamiątkę tych ostatnich chwil, przebytych razem za granicą, ten kwiat, który zdobi twoją suknię... ten goździk.

Wilunia szybko odpięła kwiat i dając go Jerzemu rzekła:

— Proszę, niech przypomina stęsknioną i kochającą narzeczonę, a matce twojej powiedz pan, że teraz już kocham ją... jak córka.

Przez ten czas p. Herminia przysposabiała wygodne posłanie dla hrabiny, a w prostej tej czynności widniała taka miłość, taka troskliwość, iż miło było patrzéć na tę córkę zawsze tak dbałą o wygodę życia ukochanej matki. Rozwijając szale, wyjmując potrzebne przedmioty, Herminia przypadkiem potrąciła swój kosz z kwiatami, ofiarowany każdej oddzielnie przez Jerzego, z którego w tej chwili wypadły dwa piękne bratki na platformę.

Zadzwoniono, zaczęto zamykać wagony. Jerzy szybko raz jeszcze ucałował rączkę Wiluni, gdy się zbliżył, aby pożegnać hrabinę, znalazł ją już leżącą na wpół na poduszcze, głowa jej ozdobiona aureolą siwych włosów spoczywała na ręku Herminii, która patrzyła na nią wzrokiem pełnym silnego przywiązania. Hrabina Horska powtórzyła prośbę córki o rychły przyjazd, poczem złożyła na czole Jerzego tkliwy, macierzyński pocałunek.

Herminia podała mu rękę; spojrzał na nią, w tej chwili światło czerwonawe lampy padało na twarz jej białą, w oczach świeciły ognie ciepła serdecznego, jakieś jasne promienie pogody duszy. Spojrzał na nią i po raz pierwszy, ujrzawszy ją podtrzymującą głowę matki i patrzącą na nią tak czule, zrozumiał, że ta p. Herminia, która zawsze wydawała się mu dumną i obojętną, mieści wswem sercu wiele głębokiego uczucia.

— Zobaczymy się niedługo — rzekł do niej, poczem uścisnąwszy raz jeszcze rękę Wiluni, Jerzy wyskoczył z wagonu.

W parę sekund potem, świst się rozległ, para buchnęła i pociąg ruszył Długo stał młodzieniec, patrząc za odjeżdżającemi, a gdy powiewająca z okna chusteczka Wiluni zniknęła, uczuł się dziwnie smutnym i samotnym. W ręku trzymał kwiat Wiluni, obok niego na platformie leżały dwa ciemne bratki... widział jak spadały... wiedział komu były ofiarowane... i podniósł je. Poczem zawrócił i udał się na powrót do Franzensbadu.

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Co zwycięża? obrazek sceniczny przez Hajotę.

Wszystko co niezwyczajne i mocą talentu zwraca na siebie powszechną uwagę, zwykle wywołuje legiony naśladowców niższych naturalnie zdolnością od mistrzów, pod których barwą pragną wznieść się po nad poziom społeczny.

Pomijając malarzy, za Wagnerem w muzyce rozwinął się szereg długi jego naśladowców, którym się zdaje, że im więcej wszystkiemi instrumentami będą piszczéć, wrzeszczyć i tułumbasić, tym bardziej będą do niego podobni.

Z wystąpieniem Sienkiewicza obrazy przerażające swą okropnością, wstrętne okrucieństwem, zyskały niezmierną liczbę zwolenników i probujących siły swego talentu zdawało się, że im coś wymyślą straszniejszego, tym to będzie piękniejsze i znakomitsze.

Rozzuchwalony wreszcie pozytywizm warszawski niczem innem nie będący jak tylko najgłupszym w świecie materyalizmem, także pod wywieszony przez siebie sztandar postępu, przygarnia mnóstwo umysłów, może nawet zdolnych, ale niedowarzonych, pewnych, że wbijaniem wszystkiego na kopyto materyalistycznych popędów, staną się przedstawicielami nowych poglądów na wielkość ich namaszczających.

Do takich to w tyglu cynizmu wysmażonych kompozycyi, należy obrazek sceniczny p. t. „Co zwycięża?”, przedstawiony raz pierwszy na benefisie Józia Hofmana i zapewne ostatni, dowodząc jak protekcya jest wszechwładną, gdy nawet taką słabiznę na widok publiczny wprowadziła.

Treść bardzo prosta.

Zdzisław kocha się, ale z ukochaną mama się żenić nie pozwala. Niedołęga spełnia ten zakaz i desperuje. Ada żyjąca tylko fantazyą i kaprysami, przytem artystka, separatka, emancypantka, kobieta bez serca i uczuć szlachetnych, wikła Zdzisława w sieci swej zalotności, ot tak zwyczajnie z nudów, aby się troszkę pobawić i jak kot z myszką poigrać. Zdzisław ulega, matka błaga Adę, aby jej syna nie gubiła, a ta natarłszy dobrze jej uszów, że nie pozwoliła mu ożenić się z biedną dziewczyną, przyrzeka, że go dziś jeszcze porzuci.

Zdzisław przychodzi do pracowni artystki, roztkliwia się nad znajdującym się u niej medalionem swej ukochanej, Ada każe mu wracać do niej, on naturalnie jako ostateczny niedołęga, zgadza się na to i kiedy już do drzwi dochodzi zalotnica rzuca się ku niemu i wyciska na ustach jego gorący pocałunek. Zdzisław nie pozostaje dłużnym, całuje uwodzicielkę z ognistym zapałem, a ta omdlałym głosem szepcze:

— Uciekajmy! Jedź ze mną!

Zdzisław bez wahania przystaje i powiada:

— Dobrze!

— Nie dobrze! — odpowiada zalotnica, bo gdybyś się był oparł pokusie, byłabym cię pokochała, ale kiedyś taki bez charakteru, bywaj zdrów i giń przepadnij jak Szwed w kampinowskiej puszczy.

Wyrzekłszy to Ada odchodzi, Zdzisław zostaje sam i woła:

— O matko czemuś się mi ożenić nie pozwoliła.

Otóż i na tem obrazek się kończy. Zwycięża zatem... pocałunek, ale nie ten co przez usta symbolizuje zlanie się dusz w zachwycie wysoko nad ziemią unoszącym się, ale pocałunek poziomy, gotowy na każde zawołanie, kupny jak bochen chleba lub kawał mięsa.

Taki niedołęga jak Zdzisław, to nie mężczyzna, tylko zwierz, taka zalotnica jak Ada to nie kobieta, tylko straganiarka u której wszystkiego za pieniądze dostanie.

Smutną byłaby przyszłość społeczności, w którejby takie jednostki królowały: smutne są chwile w której utwory podobne na jaw wyłażą, ale najsmutniejszem, że autorem jednego z nich jest kobieta...

G.

OBŁĄKANI W KONSTANTYNOPOLU.

Wiadomo, że mahometanie uważają wielką chorobę i obłąkanie za szczególniejszą oznakę łaski bozkiej lub urok rzucony przez jakiego złego ducha, że zatem grzechem jest chcieć leczyć dotkniętego temi cierpieniami. Dawnemi czasy wielu sułtanów tureckich zakładali przytułki dla obłąkanych, ale od lat czterdziestu zaledwie już tylko ślady pozostały po tych zakładach miłosiernych, kiedyś bardzo bogato uposażonych.

Obecnie jeden już tylko istnieje jeszcze, to jest przytułek wzniesiony przez Solimana Wspaniałego, w pobliżu pięknego meczetu imienia tego sułtana.

Wyjąwszy niebezpiecznych furiatów, obłąkani używają w Turcyi zupełnej swobody, rodzina otacza ich najtkliwszemi staraniami, gdyż obecność

„ulubieńca niebios” staje się dla nich źródłem pomyślności, najpewniejszą tarczą przeciw urzeczeniu; nie ma amuletu równie niezawodnego, broniącego tak skutecznie od wszelkiego złego. Nadto ze wszystkich sąsiednich kuchni przysyłają obłąkanym najsmaczniejsze kąski, gdy wyciągnie rękę grad drobnej monety spada na nią i nawet podnosi się wartość domów w okolicach przez nich zamieszkałych. Jeźli jakiś przebiegły spekulant nakłoni go aby obecnością swoją uszczęśliwił nowo zabudowaną dzielnicę, w opuszczonej powstaje lament i ubolewanie i wszelkie mogące nastąpić wypadki czy choroby przypisują jego nieobecności.

Obłąkany Turek postępuje sobie zupełnie samowolnie, nakłada podatki na łatwowierną publiczność i żartuje sobie ze wszelkich przepisów policyjnych.

Z tego poniekąd godnego zazdrości przywileju, przysługującego obłąkanym w Konstantynopolu i we wszystkich w ogóle krajach, zamieszkałych przez wyznawców Mahometa, korzystają na wybrzeżach Bosforu waryaci wszelkich narodowości i religii.

Pewien turysta angielski podaje, iż był raz świadkiem jak pewien żebrak, Grek, który jak się zdawało, udawał tylko obłąkanego, przedarł się raz przez szereg gwardyi sułtana Abdul-Medżida, i chwytając za strzemię, głośnym krzykiem domagał się jałmużny. Każdy inny byłby rozszarpany przez halabardników, jemu nietylko nic złego nie zrobiono, ale nadto sułtan wyznaczył mu zaraz dożywotnią pensyę 600 piastrów (około 40 rs.), którą wypłacano jak najregularniej. Po śmierci sułtana, następca jego chciał dla oszczędności znieść tę niczem nieuzasadnioną rentę, lecz Grek dowiedziawszy się o tem, wpadł do gmachu zarządu skarbu i takiego narobił hałasu, tyle wygłosił pogróżek, iż urzędnicy nie mieli odwagi odmówić mu wypłaty, po którą zgłaszał się jak najregularniej; już sama ta jego punktualność dozwalała powątpiewać o rzeczywistości obłąkania.

Wogólności postępowanie obłąkanych nie jest tam szkodliwe ani naganne. Daleko niebezpieczniejsi i wstrętniejsi są brudni i na wpół-waryaci „derwisze”, których przecież, pospólstwo szczególniej, otacza poszanowaniem i uznaniem, pomimo ich szalonych rzucań się i wrzasków. Odziani zwierzęcemi skórami, z najeżonym włosem i najeżoną brodą, przebiegają wsie i miasta i gdzie tylko mogą wyrządzają przykrości chrześcianom. Na sam widok europejskiego kapelusza, rzucają się na jego posiadacza, jak buchaj na czerwoną chorągiew; raz jeden z nich o mało nie zadusił pewnego bankiera, za to, że poważył się mieć zielony parasol, który to kolor uważany jest przez mahometan za świętość.

Uszanowanie ukazywane obłąkanemu za życia, zwiększa się jeszcze z chwilą jego śmierci. Liczny tłum zbiera się na pogrzebie, każdy ubiega się o zaszczyt niesienia trumny i dlatego niosący ją zmieniają się co chwila, aby jak najwięcej wiernych dostąpić mogło tego szczęścia. Według ich mniemania, jest-to niemylny sposób uzyskania odpustów w tem i w przyszłem życiu.

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI
z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Zwierzyniec warszawski, nazywany na sposób cudzoziemski ogrodem zoologicznym, dla zasilenia niezbyt wielkich swych dochodów, urządza zabawy dla dzieci z gonitwami, tańcami, grami różnego rodzaju, muzyką i niespodziankami a nawet z gospodyńkami i gospodarzykami całego zebrania, mianowanemi przez główną gospodynię a dla odznaczenia w tej godności przystrojonemi w odpowiednie kokardki.

Że zebrania takie mogą się komuś podobać i mogą być nawet dość liczne, temu przeczyć nie można, ale czy nie są szkodliwe dla dziatwy biorącej w nich udział, to stanowi pytanie bardzo ważne.

Przedzierżganie dzieci w starszych, małpowanie ich powagi i chwilowych obowiązków, obudzanie tem samem niechęci do wiosny ich życia a rozwijanie pragnienia natychmiastowego zdobycia stanowiska, do jakiego tylko dochodzi się pracą i nauką długoletnią, oto proste następstwa z zebrań podobnych wynikające.

Dzisiejsze pokolenie pod godłem niby pozytywizmu siebie jedynie uważające za zbawców społecznych, otoczonych aureolą wszechwiatowej mądrości, podobnie zabawiało się niegdyś w salonie ratuszowym, i jakiż z niego plon otrzymała społeczność z niewielkim bardzo wyjątkiem stanowiącym chlubę jej godności?

Odpowiedzi na to nie udzielimy, rozważnemu sama nasuwa się do myśli, a w pośród pracowników pióra, małą próbkę daje p. Adolf Dygasiński w polemice z Publikolą w „Słowie”. Nie idzie nam o powód literackiego nieporozumienia ale o sposób prowadzenia polemiki. Pan Publikola jest już starszym człowiekiem, p. Dygasiński znacznie od niego młodszym, pan Publikola trzyma się tylko rzeczy i poważnie ją traktuje, p. Dygasiński rzeczą mało się zaprząta a szarpiąc osobistość p. Publikoli, wytyka mu wiek jakoby zgrzybiały, ochwierutane zęby, siwe włosy i t. d., i radzi, że skoro dotąd nie spoczął w Panu, aby chodził pić wodę do Saskiego ogrodu jak przystoi sędziwemu emerytowi.

A pisze tak p. Dygasiński niby pedagog, który z obowiązku winien uczyć dzieci poszanowania starszych.

Na jedno przedstawienie Chaty za wsią jeden z Warszawiaków przebywający w Pruszkowie na letniem mieszkaniu, przywiózł ośmiu włościan i ugościł tem zupełnie nowem dla nich widowiskiem.

Zadowoleni byli bardzo, sztuka dobrze wybrana, a każda nią prawie będzie dobra, byle nie Chłopi arystokraci, niegdyś tak bardzo dziś jeszcze wychwalani. Zabawne to ale zjadliwe teatralne szyderstwo, może nam lakierkowym salonowcom podobać się bardzo, ale lud wiejski oburzy i serca jego ku nam nie skłoni.

Potępiając to co chwali krytyka, przyklasnę jednak reprezentantom jednej z resurs tutejszych, którzy wykreślili z listy jej członków pewnego pana za popełnienie czynu niehonorowego, tymbardziej, że należącego do ludzi bardzo majętnych i bardzo protegowanego. Podobnie postąpili urzędnicy pewnego bióra, żądając wydalenia pewnego ze swych kolegów za czyny zwane wzwyczajnej mowie... łajdactwem. Śliczne to objawy działalności opinii publicznej, która na właściwem utrzymywana stanowisku stanowi potęgę mogącą dobru ogólnemu wielkie przynosić przysługi.

W Kantonie Vaud wyszło nowe rozporządzenie wzbraniające strojenia dzieci. Gmina upoważnioną jest naznaczać grzywny za przekroczenie tego przepisu przez rodziców a zwierzchność szkolna może dziecko zbytkownie ubrane do domu odesłać.

Jakżeby u nas podobne prawo, przeciw temu szczepieniu zbytku i próżności w młodziutką dziatwę było pożądane.

Oryginalne żądania ogłaszane przez pisma zagraniczne, są czasami nawet komiczne. Jeden z prenumeratorów angielskiego muzycznego tygodnika, domaga sie ogłoszenia konkursu na odpowiedź na zapytanie: czem być lepiej, czy Lisztem czy Gladstonem?

W Lugdunie magistrat wydał rozporządzenie, że nie publiczność ma prawo objawiać w teatrze swoje zadowolenie lub niechęć oklaskami albo sykaniem, lecz tylko... recenzenci i... radni miasta.

Szczęśliwa matka. Pani Emma Winter, wdowa po nizkim urzędniku w Londynie, zmuszona utrzymywać się ze skromnej pensyjki, nędzne pędziła życie wraz z czterema dorosłemi, nader urodziwemi córkami, które trudniły się szyciem. Najstarsza z nich, Lizzie poznała w magazynie bielizny, dokąd odnosiła robotę, mahometanina, nazwiskiem Habdem-El-Selim. Energiczny syn państwa Otomańskiego złożył niezwłocznie wizytę pani Winter i został rodziną tak zachwycony, że poprosił wdowy o... ręce wszystkich czterech córek, które chciał gremialnie poślubić. Ani p. Winter, ani jej córki nie miały nic przeciw oświadczynom wschodniego bogacza, który nadto przyrzekł zabrać ze sobą i... teściowę. Opiekun panien Winter jednak nie chciał usankcyonować tego niezwykłego małżeństwa, wdowa przeto, oburzona stawianiem przeszkód jej dzieciom na drodze do szczęścia, powierzyła załatwienie sprawy adwokatowi swemu, p. Patridge.

W pismach zagranicznych spotykamy następującą wiadomość:

W pierwszej połowie Maja zmarł w Pierrefonds (depart. Oise we Francyi) Lucyan Wyganowski, przeżywszy lat 75. Był on rodem z Litwy, z okolic Grodna czy Swisłoczy. Nie pozostawił testamentu, rzeczy po nim opieczętował rząd francuzki, rezerwując je do zgłoszenia się kogoś z rodziny. Osoby mogące wiedzieć o miejscu pobytu któregokolwiek z członków tej rodziny, uprasza się, ażeby doniosły o tem pod adresem: „Mr. Jules Conné table, hotel des Ruines a Pierrefonds les Bains (Oise) France”.

Czy można umrzeć ze strachu? zapytuje medyczne pismo angielskie „The Lancet”, z powodu świeżo zaszłego wypadku z pewną młodą kobietą z Keating. Odpowiedź potwierdzająca wątpliwą być nie może, przynajmniej w tym razie. Owa młoda kobieta, chcąc odebrać sobie życie, zażyła znaczną ilość proszku na owady i położyła się do łóżka, a w parę godzin znaleziono ją nieżywą. Zebrała się komisya i zarządzono sekcyę zwłok. Analiza proszku znalezionego w żołądku, który nawet nie został strawiony, wykazała, że proszek ów był zupełnie nieszkodliwy i nie mógł w żaden sposób stać się przyczyną otrucia, a pomimo to młoda kobieta umarła. Lekarze, którym powierzono bada-

nie tego wypadku, skonstatowali, że zmarła była obdarzona bardzo bujną wyobraźnią i miała temperament wyjątkowo nerwowy, a więc musiała skonać w omdleniu, pod wrażeniem silnego wzruszenia, jakiego doznała, zażywszy proszku, o którym sądziła że jest zabójczy. „The Lancet" przytacza jeszcze dwa inne fakta, w których śmierć nastąpiła w skutek okropnego przestrachu. Pierwszy tyczy się pewnego skazańca angielskiego, który w przeszłym wieku został wydany doktorom, ci zaś przedsięwzięli nad nim psychologiczne eksperymenta, zakończone śmiercią nieszczęśliwego. Skazaniec został mocno przywiązany rzemieniami do stołu, zawiązano mu oczy i zapowiedziano, że mu puszczą krew z szyi, która będzie płynąć, aż do kompletnego ujścia, przyczem zrobiono mu lekkie ukłucie igłą, a koło głowy postawiono mu syfon z którego woda wązką strugą spływała mu po szyi aż do szafiika ustawionego przy nim na ziemi. Po upływie sześciu minut, skazaniec przekonany, że musiał utracić mnóstwo krwi zmarł ze strachu... Drugi przykład odnosi się do stróża szkolnego, który był nienawidzony przez uczniów. Kilku z nich, porwało go, zamknęli biednego stróża w ciemnej sali i złożyli rodzaj sądu. Wyliczono mu wszystkie jego przewinienia i oświadczono, że śmierć będzie miała miejsce przez ścięcie. W tym celu przyniesiono topor i kloc, które złożono na środku sali i zapowiedziano oskarżonemu, że mu pozostaje tylko trzy minuty do żałowania za grzechy i pogodzenia się z Bogiem, po trzech minutach zawiązano mu oczy, zmuszono by ukląkł, rozpięto koszulę, a nareszcie wykonawcy uderzyli go po karku serwetą umoczoną w wodzie i śmiejąc się wstać mu kazali. Ku wielkiemu zdziwieniu uczniów, człowiek się nie ruszył. Podniesiono go próbowano pulsu... nie żył już! zmarł prawdopodobnie ze strachu, pod wrażeniem strasznej próby, na którą go wystawiono.

Wyższa szkoła dla kobiet. W mieście Egham nad Tamizą w hrabstwie Surrey, pamiętnem z nadania w niem przez króla Jana tak zwanej *Magna Charta Libertatum*, królowa Wiktorya otworzyła w tych czasach wyższą szkołę dla kobiet, założoną przez fabrykanta pigułek Holloway'a kosztem 300,000 fst. Stanowi ją gmach w stylu odrodzenia, długi na 550 stóp, położony wśród ogrodów. Znajduje się tam muzeum, biblioteka, sala do odczytów, galerya obrazów ceniona na 90,000 fst., oraz około 1,000 pokojów dla 250 uczenic i składu nauczycielskiego. I cóż dziwnego, że kraj, którego wszystkie klasy przykładają się do najważniejszego dzieła: budowania przyszłości, przoduje przed innemi?

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

10 Lipca 1886 roku.

Cały wytworny Paryż rozjeżdża się w tej chwili, do kąpieli morskich, do wód uzdrawiających w cieniu Alp lub Pirenejów, lub też do zamków rozrzuconych po całej Francyi. W magazynach widzimy mnóstwo kostyumów i okrywek, przygotowanych to na skwary południowe, to na chłodne poranki i wieczory nad brzegiem oceanu, opiszemy je po kolei.

W pięknym magazynie panny Elizy Mery, (ulica Caumartin 48), zwróciła uwagę naszą cała wyprawa do Dieppe, przygotowana dla młodej jeszcze matki i dwóch dorosłych córek. Przeważały tu suknie białe w śmietankowem odcieniu. Na koncert lub wieczór tańcujący, odznaczała się biała muszlinowa haftowana atłaskiem, na różowej jedwabnej, lekko podpinana, pękami długich pukli, ze wstążki różowej. Staniczek do tego na pół otwarty, wykrojony w chusteczkę, wyłożony koronką. Na szyję przygotowana była gerlanda z niewielkich różyczek z listkami, od boku szyi zwrócona do środka stanika, tu przytwierdzona kokardą i znów odwrócona ku lewej stronie. W miejscu gdzie stanik łączy się ze spódnicą, długie pukle ze wstążki zakończały ową gerlandę.

Druga suknia, także na wieczór, biała gazowa w atłasowy groszek, przepasana była szarfą błękitną morową, spadającą długiemi puklami na tylne bryty. Gerlandka z niezapominajek otaczała szyję i szła przeciągnięta wzdłuż stanika, obrócona do boku.

Inna suknia z koronki szarej na ponsowej materyi surah, podpinana bukiecikami z maczków, bławatków i melisy, nadzwyczaj świeżo wyglądała. Od lewego ramienia do piersi, przechodziła gerlandka z takichże kwiatków, zakończona bukietem.

Dla starszej osoby uważaliśmy piękną suknię z czarnego poult de soie, ułożoną w kontrafałdy. Na to szła draperya z tiulu jedwabnego, zasiana dżetowemi grelotkami. Stanik obcisły tworzył rodzaj kirysu, przerobionego raz koło razu dżetem. Rękawy dżetowe sięgały do łokcia, zakończała je buffa z tiulu.

Na poranne przechadzki nad morzem, podobały nam się bardzo, kostyumy z serży białej w paski także białe. Miejsce stanika zastępuje bluzka z *surah*, w kolorze oliwkowym, szafirowym lub ciemno ponsowym. Na to idzie westka z serży białej otwarta z przodu z kołnierzykiem czarnym aksamitnym, takiemiż kieszonkami i klapkami u rękawów.

Zwrócił też uwagę naszą, kostyum z białego sukienka. Z pod spódniczki lekko udrapowanej, otwartej z boku, wyglądał słup zahaftowany jedwabiem w perski deseń na białem suknie. Stanik długi z karoczkiem, otwarty z przodu, miał plastron odpowiednio zahaftowany.

Inny znów kostyum także na chłodny poranek, z cienkiego wigoniu w kolorze *café au lait* (kawy z mlekiem) miał bluzkę z jasno szafirowego surah, obciśniętą takimże paskiem spiętym na klamerkę z białej konchy. Na wierzch szła westka wigoniowa, przybrana kołnierzykiem stojącym, kieszonkami i klapkami u rękawów, z aksamitu koloru wydrowego. Rząd guzików perłowych służył raczej do ozdoby niż do użytku. Rękawki szafirowe *surah*, wybiegały z pod szerszych wigoniowych rękawów.

Kolor kawy z mlekiem, powszechnie w tym roku przyjęty, na suknie i kostyumy.

Noszą także kostyumy w kolorze popielato szafirowym. Widzieliśmy jeden bardzo ładny. Miał spódniczkę z tkaniny wełnianej w ciemniejsze paski aksamitne. Na to spadała tunika z gładkiego materyału, tworząca z przodu długi fartuch, w tyle puff rozniesisty, podniesiona z lewego boku. Stanik gładki, szeroko otwarty na przodzie, miał plastron w aksamitne paski; kołnierzyk do tego stojący aksamitny, takież klapki u gładkich rękawów. Od ramienia spadały długie rękawy w paski, sięgające do łokcia, przytwierdzone w górze pasmanteryą dżetową, w kolorze szafirowym. Takaż pasmanterya zdobiła stanik poniżej plastronu.

Ubranie małych dziewczynek do morza, składa się zwykle z krótkiej, rzęsisto nafałdowanej spódniczki i bluzki w odmiennym, zwykle żywym kolorze. Na bluzkę idzie otwarty kaftaniczek tego koloru jak spódniczka. Dopełnia ubrania szeroka szarfa wełniana, przewiązana bardzo nizko, związana z tyłu na kokardę. Szarfa ta bywa z tego jak bluzka materyału.

Nowość w okrywkach, stanowią kardynałki (camails) z pluszu albo wigoniu. Pluszowe obszywają zwykle frendzlą sznelową, wigoniowe pasmanteryą przerabianą różnokolorowym dżetem.

Do większego ubrania ukazały się chustki *Marie Antoinette*, z gazy kolorowej, albo z białego tiulu w deseń, ogarnirowane koronką, podpięte kokardami ze wstążki. Nie wiążą ich w tyle jak dawniej, ale przerzucają lekko na piersiach.

Zdarzyło nam się być w tych czasach na bardzo arystokratycznym ślubie w kościele Ś-tej Magdaleny. Stroje odznaczały się wytwornością i gustem. Dajemy tu opis najpiękniejszych.

Pana młoda śliczna Kreolka, miała suknię atłasową, powleczoną jedwabnym, mocno przymarszczonym tiulem. Od lewego ramienia wzdłuż piersi, upięta była gerlandka ze świeżych kwiatów pomarańczowych, zakończona białą kokardą. Z pod woalu, widać było takiż wianek, upięty w tyle głowy.

Ubranie matki. Suknia z lampasu w kolorze stalowym, w atłasowe i aksamitne pasy. Spódnica szeroko otwarta na przodzie. Z pod otworu widać było jakby drugą spódniczkę, jasno popielatą w odcieniu perłowym, powleczoną koronką chantilly. Dopełniał stroju kapelusik tiulowy popielaty, przybrany pękiem lekkich piór w dwóch odcieniach.

Ubranie druchny. Suknia jedwabna różowa powleczona białym tiulem w drobne muszki. Draperya tiulowa podpinana pękami z pukli różowych. Kapelusik okrągły z białej słomki, opasany wiankiem róż.

Ubranie młodej mężatki. Spódniczka jedwabna w kolorze mchowym (*mousse*) przybrana bufowaną gazą, podpinaną kokardami. Na to vêtement z lampasu tegoż koloru, w atłasowe i aksamitne paski. Kapelusik tiulowy przybrany egretką z róż mchowych.

Inne ubranie. Suknia z materyi koloru *tourterelle* (sinogardlicy) w odcieniu różowo popielatem. Kapelusik słomkowy, przystrojony bukietem wrzosu.

Inna znów suknia ciemno fijołkowa poult de soie, ogarnirowana białą koronką. Kapelusik ułożony z samych fijołków, wybiegała po nad główkę egretka z bzu białego.

Najwięcej ze wszystkich biła w oczy suknia z sycylianki ponsowej, przybrana czarnym dżetem.

Z pod tuniki szeroko otwartej z przodu, wybiegał czarny fartuszek cały naszyty grelotkami dżetowemi. Stanik otwarty, miał plastron odpowiedni do fartuszka. Rękawy ponsowe do łokcia; z pod tych wychodziły czarne, naszyte dżetem. Kapelusik czarny koronkowy, przybrany był egretką z ponsowych maczków.

W parasolikach uważaliśmy wielką rozmaitość. Czarne i białe koronkowe na kolorowem podwleczeniu, przystrojone były kokardami i bukiecikami z drobnych kwiatków.

Kolor trzewików zastosowany zawsze do koloru sukni, zarówno jak i jedwabne ażurowe pończoszki.

Rękawiczki duńskie w jasnym odcieniu używane do największego ubrania. Obok tych uważaliśmy i jasno perłowe z kozłowej skórki.

Niektóre panie zamiast parasolików, miały wielkie artystycznie wykonane wachlarze.

ROZMAITOŚCI.

Demonstrancya w Lublanie.

Garstka Niemców zamieszkałych w Lublanie, reprezentowana przez Towarzystwo gimnastyczne, postanawiła w rocznicę zgonu Anastazyusza Grüna, hr. Antoniego Auersperga, uroczyście odsłonić jego pamiątkową tablicę.

Na uroczystość tę zaproszono niemieckie towawarzystwa z całej Austryi i reprezentacyę miasta Lublany.

Rada miasta uchwaliła nie brać w uroczystości udziału i wysłać do prezydenta kraju deputacyę z prośbą, aby zakazał publicznego obchodu, drażniącego uczucia ludności miasta. Postanowiono nadto, jeśli prezydent prośbie odmówi, aby się udać do ministerstwa, a gdyby i tam skutku nie osiągnięto, to oświadczyć, że miasto nie przyjmuje na siebie utrzymanie porządku publicznego i aby prezydyum krajowe się tem zajęło.

Prezydent rządu odpowiedział deputacyi, że w obchodzie tym nie upatruje żadnej demonstrancyi i dlatego nań pozwolił, że jednak wykluczy udział wszelkich innych stowarzyszeń i tylko „turnerzy" będą mogli wystąpić korporacyjnie, zresztą zapewnił, że sam czuwać będzie nad tem, aby nic takiego nie zaszło, co by mogło drażnić uczucie narodowe Słowieńców.

Na wniesiony rekurs do ministerstwa, otrzymano polecenie, aby policya miejska zajęła się dopilnowaniem porządku.

Ale któż to był ten, którego pamięć tak bolesne w Słowieńcach budzi uczucie?

Oto słynny poeta i mąż stanu niemiecki, urodzony w Lublanie. Tutaj wygrzał go przy swej piersi najznakomitszy poeta słowieński, Preszern, on go wykarmił mlekiem dum swoich, zbudził w nim ducha echem swych pieśni, marząc, że z tych ziarn które zasiał w jego sercu i umyśle, wyrośnie prawy syn i patryota. Jakże się omylił!

Według przekonania Grüna, Słowianie, byli to „Sklaven" czyli niewolnicy, których obowiązkiem tylko giąć karki pod przemocą rasy teutońskiej; której się z prawa przodownictwo należy.

Wiedząc o tem, zapewne nikogo nie zadziwi, że Lublana wyparła się swego dziecka, apostaty, że pamięć jego zwłaszcza w obec ciągłych zatargów, panujących teraz pomiędzy Słowianami i Niemcami w Austryi, gorzkie tylko wywołuje wspomnienie.

W dniu oznaczonym, t. j. 3 b. m. policya i żandarmerya musiała obsadzić plac uroczystości i wiodące do niego ulice, aby umożliwić obchód, ludność bowiem słowieńska od rana zaczęła się gromadzić i zebrała się w alei w liczbie kilku tysięcy.

Pochód „turnerów" i deputacye obcych towarzystw tłum powitał kocią muzyką.

Pod ochroną tedy bagnetów zgromadzili się na placu turnerzy niemieccy, różne deputacye, dygnitarze niemieccy i oficerowie. Profesor Artur Mahr wypalił mówkę, sławiąc Grüna jako poetę i patryotę niemieckiego, chór odśpiewał kantatę i odsłoniono tablicę pamiątkową.

Z powrotem uczestników uroczystości przywitano znowu okrzykami „pereat" i świstaniem.

Po południu turnerzy zgromadzili się w ogrodzie obok Tivoli, gdzie wysuszali kufle piwa przy dźwięku muzyki wojskowej, w czem nie przeszkadzano im wcale.

Dopiero o godzinie 8-mej wieczór tłumy zaczęły się gromadzić przed kasynem, gdzie Niemcy wyprawiali ucztę. Tutaj zatarasowano przystęp przez ulicę i zamiast kapeli, ucztującym przygrywała muzyka złożona z krzyków, świstań, wycia, szekania, ryku i t. p. głosów zlewających się w nader dźwięczną harmonię:

O pół do dziewiątej prezydent kraju polecił sprowadzić dwie kompanie wojska, które otoczyły gmach mieszczący kasyno, co jednak nie przeszkadzało tłumom do wyprawiania dalej kociej muzyki.

O godzinie 12 ej wojsko musiało utworzyć czworobok i otoczywszy członków obcych towarzystw niemieckich, odprowadzić ich na dworzec kolei.

Tłum pożegnał ich jeszcze krzykami i świstem, poczem rozszedł się. Władza rozpoczęła śledztwo i aresztowała 90 osób, z których 55 zeraz po przesłuchaniu wypuszczono.

Demonstrancya ta oburza do najwyższego stopnia organa prasy niemieckiej.

„Wszyscy z goryczą zapytują, jak mogło przyjść do tego i kto temu winien, że Lublana, która przed 40 laty była miastem czysto niemieckiem, teraz posiada reprezentacyę wyłącznie słowieńską, która nienawidzi i prześladuje wszystko co niemieckie".

(K. C.)

Z dziedziny humorystycznej.

W jednym z teatrów prowincyonalnych, powstało ogromne wzburzenie, iż w przedstawieniach scenicznych zamiast np. pasztetu, dawano artystom sztuczne jego naśladowanie, zamiast ciast i delikatesów, wyroby z papki papierowej a zamiast szampana wodę sodową.

— Jeżeli to tak dalej praktykować się będzie, mówiono w całym składzie zgromadzonym na próbę, to przestaniemy występować i ogłosimy bezrobocie.

— Bardzo pięknie, odzywa się dyrektor cierpliwie wysłuchawszy głosów artystek i artystów. — Żądacie więc panie i panowie prawdziwych pasztetów?

— Naturalnie, że nie inaczej.

— Delikatesów i szampana prawdziwego?

— Lub burgunda, odpowiednio do wymagań sztuki, której lekceważyć nie można.

— I likierów, dodają artystki.

— I koniaku, odpowiadają artyści.

— Bardzo dobrze, odpowiada dyrektor, skoro domagacie się tego przez poszanowanie sztuki moi panowie, to ściśle trzymać się będę informacyi....

— Tak jest, tak jest, przez poszanowanie sztuki, potwierdzono ogólnie.

— A więc jutro, do przedstawienia dramatu każę podać prawdziwą truciznę, gdyż dwóch truje się...

— A to co innego, zawołali wszyscy.

— Poszanowanie sztuki wymaga tego panowie. Wasze żądanie ściśle spełnię, mam więc prawo domagać się wzajemności.

Bezrobocie nie przyszło do skutku.

* * *

Nie ma złego coby na dobre nie wyszło, powiadają Kolce. Mamy poddostatkiem basów, barytonów, brak nam tylko tenora.

— Tenora! tenora! królestwo za tenora, rozlegają się wołania dyrekcyi teatrów.

Rozpatrując ten fakt krytycznie, dojść musimy do przekonania, iż trudność znalezienia tenora jest objawem bądź co bądź pocieszającym: brak bowiem ludzi cienko śpiewających jest niezawodną oznaką ogólnego dobrobytu.

* * *

Przysłowia, powiadają, są mądrością narodów i zawsze prawdę głoszą; tymczasem angielskie twierdzi, że czas to pieniądz, a iluż to na świecie ludzi, co na każdą dobę mają 24 godzin czasu wolnego a z pieniędzy ani grosza w kieszeni. Pokazuje się, że warszawscy postępowcy mają słuszność, cała przeszłość ludzkości z rozumami i przysłowiami za jedno wielkie głupstwo uważając.

* * *

Zbytek we wszystkiem męczy.—Pani D. bardzo kocha swego męża ale w tkliwej czułości nieustającemi nigdy zapewnieniami swej czułości i pytaniami o wzajemność, nudzi niewymownie.—Kilka dni temu, gdy mąż zajęty był pilną pracą przy biórku, podchodzi do niego cichaczem i obejmując za szyję pyta najczulszym głosikiem:

— Władku kochany, powiedz mi szczerze...

— Cóż takiego?—pyta troszkę niezadowolony przerwą w zajęciu.

— Powiedz mi tylko szczerze...

— No, dobrze, powiem, ale o co ci idzie?

— Czy kochasz mnie tak, jak w pierwszych dniach naszego małżeństwa?

— A niechże mnie wszyscy dyabli porwą! —krzyknął małżonek do ostateczności przyprowadzony.— Ileż razy mam ci powtarzać, że tak, tak i raz jeszcze tak.

Małżonka zaczerwieniła się i obrażona odrzekła drżącym z gniewu głosem:

— Bądź spokojny, dyabli nie czepią się ciebie, bo po takiéj odpowiedzi nie jesteś nawet wart aby cię porwali.

— Ale ty za to, zupełnie tego jesteś godna, odrzekł małżonek przechadzając się wielkim krokiem po pokoju.

* * *

Do tramwaju siada otyły pan X. i wtłoczywszy się na ławkę przyciska do ściany sąsiada, który zapytuje konduktora cichaczem:

— Czy panowie obowiązani jesteście i słonie wozić?

— A jakże, odpowiada konduktor, tramwaj to jak arka Noego, przyjmuje bydło wszelkiego rodzaju...

— Nawet osłów, domawia pan X.

* * *

Gladston prezes gabinetu angielskiego, pragnąc pozyskać przychylność opinii publicznej w Szkocyi, dla zamierzonego przez niego usamowolnienia Irlandyi od zgubnej tyranii angielskiej, wybrał się do Edymburga.

Wsiadając do salonowego wagonu, w jasnym garniturze ze szkockiego kortu i z różą przy piersi o szkockiem nazwisku, wyglądał jak imperator rzymski w tryumfie do stolicy wjeżdżający. Na przystankach stacyjnych zebrane tłumy przyjmowały go wszędzie z niezmiernym zapałem; wznoszono na cześć jego okrzyki, brzmiały orkiestry, składano wieńce i bukiety, a w połowie drogi w Normanton w chwili zatrzymania się pociągu, stanęła przed wagonem deputacya z miejscowych obywateli złożona, której przewodniczący trzymając tęgą laskę sękatą w ręku, rzekł donośnym głosem:

— Przyjmij szanowny mężu, ten oto dobry pręt leszczyny, abyś miał czem garbować grzbiety opuszczających cię wigów i liberałów.—Gdy go zużyjesz, donieś nam a kopę ci podobnych dostarczymy, bo jeźli kij do gwałtu służy to i sprawiedliwości tryumf zapewnia. — Bij więc i smagaj podłych zmienników a i zatwardziałyah samolubów nie oszczędzaj, a gdy ci ręka z trudu obwiśnie wezwij nas, a sto rąk samych kowali stanie na rozkazy, i na kowadle twej woli wykuje to, czego pragniesz.

* * *

— A więc panie młody, odzywa się kapłan przyjmując zaprosiny dania ślubu młodej parze, zabierasz się do stanu małżeńskiego, czy więc przygotowałeś się należycie do tak ważnego aktu...

— Oh! najzupełniej, odpowiada zapytany. — Przyszłego mego teścia znam hipotekę jak własną kieszeń i cyfrę posagu równie dokładnie, jaką mi raczył przeznaczyć.

* * *

Przy przeglądzie wojska, 'na zapytanie, czy który z żołnierzy nie ma powodu do jakiej skargi, występuje jeden z nich i salutując powiada:

— Ja mam powód, panie generale.

— I o cóż ci idzie?—Czy złe odbierasz pożywienie?

— Nie, panie generale.

— Czy doświadczasz jakiej niewygody?

— Nie, panie generale.

— Może nie odbierasz wszystkiego co ci przynależy?

— Nie, panie generale.

— To może masz żal do swych przełożonych?

— Tak, panie generale, mam żal ale nie do przełożonych tylko do narzeczonéj, że zamiast mi przysłać na pamiątkę jedną szynkę o którą prosiłem, ona mi przysłała sto całusów których wcale się nie domagałem.

* * *

— Dlaczego księżyc taki zawsze jakiś blady i niemający tego blasku i życia, jakiemi zaleca się słońce?

— Nic dziwnego, birbant ten włóczy się zawsze po nocach, prowadząc więc łajdackie życie musi jak łajdak wyglądać.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie strojne spacerowe. Suknia z materyi jedwabnej ma przód i boki plisowane w szerokie fałdy, a tylne bryty podpięte w górze. Fantazyjna draperya rzucona z boku, jest krepowa z riuszą z siepanej materyi. Stanik z baskiną przybrany fałdowaniem krepowem i rzędami wązkiej riuszy. Kapotka koloru sukni zdobna piórami i wstążką.

Ubranie balowe. Suknia jedwabna z wielkim gładkim trenem, draperya z gazy jedwabnej przerabianej w deseń złosy, podpięta sutą rozetą z wstążki. Stanik bawetowy z tiulową bertą.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Ewie K. w Moskwie. Za przysłane wiadomości o *Przyjacielu dzieci* serdeczne składamy podziękowanie, tembardziej że udzielone od osób w bliskich z Panią zostających stosunkach. Praca przy nim ciężka i mozolna ale wdzięczna niezmiernie. Pismem tem drugie już pokolenie wychowujemy i te same Matki i Nauczycielki co były niegdyś czytelniczkami *Przyjaciela* dziś prenumerują go dla dziatek którym przewodniczą. Stanowi to uznanie użyteczności naszej pracy, zajętej jedynie wdrażaniem w młodociane umysły zamiłowania wszystkiego co piękne i dobre, brzydzenia się wszelkiem złem i zdrożnem, wyrabianiem w sobie hartu duszy, siły woli i obudzania wreszcie przekonania, że poczciwej pracy i staraniu usilnemu Bóg zawsze błogosławi i dopomaga.

Krytyki które Pani tak słusznie karci, nie są też krytykami ale paszkwilami wielce ubliżającemi Pismu niby poważnemu, w jakiem były umieszczone. Pierwszą z tych krytyk pisała ta która w niej samą siebie podniosła pochwałami aż do śmieszności posuniętemi, gdy właściwie jestto osoba bardzo miernych zdolności, troszkę tu i owdzie pochwytała coś z nauk przyrodzonych i zdaje jej się że jest pełna talentu i wielkiego rozumu.—Drugą krytykę wygotowała pragnąca gwałtem uchodzić za literatkę; jestto mierność jeszcze większa od pierwszej. Czyż więc takie osobistości powodowane zawiścią i trawione żądzą odznaczenia się, sławy, pochwał i czołobitności, mogą być zdolne do czego innego jak nie do paszkwilu?—Pominęliśmy je też milczeniem, bo uznanie jakie zdobyliśmy w rodzinach u Matek i Nauczycielek a i u samych młodych czytelników, starczy nam za wszystko, i tego nic nam nie odbierze nawet największa złość i zawiść ludzka.

Pani J. K. w Ustłaminku. Numer nieodebrany powtórnie wysłano. Za dokładność w przesyłce pocztowej każego numeru, Redakcya śmiało poręcza, gdyż ekspedycya jest tak urządzona, że pominięcie którego z Prenumeratorów, pozostała kartka adresowa zaraz wykazuje. Premium zostało wysłane.

Pani W. Napomnienia osoby według doniesienia grzeszącej brakiem taktu w postępowaniu, *Przyjaciel dzieci* nie ma prawa w Piśmie swem ogłaszać. Należy to do rodziców a nigdy do osób dalszych, chociażby nawet najgłośniejszych pedagogów.

P. Ok. Ul. w Mała-Wyśka. Zmiana adresu dopełniona została, kop. 30 jako należność za to przypadającą odebraliśmy.

Pani E. Lebisz w Murawce. Przyjaciela Dzieci cały komplet zeszłoroczny przesłano podług wskazanego adresu. Należytość rubli pięć odebraliśmy.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Іюня 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 29.

1 i 39. Ubranie letnie z perkalu lub zefiru. Plecy na ryc. 30 w N. 30. Model kroju na ryc. 39.

Ryc. 1 przedstawia suknię z zefiru w paski, ze wstawkami 6 cent. szerokiemi, haftowanemi, a ryc. 30 w N. 30 suknię z perkalu w rzucik, ze wstawkami gipiurowemi; obiedwie ubrane aksamitem. Wolant pokrywający spódnicę złożony z boków w szerokie kontrafałdy, a z przodu i z tyłu w szerokie fałdy plisowane, oszyty jest w koło dwoma wstawkami, nad któremi z prawego boku, dana jeszcze wstawka trzecia. Draperya przednia (ryc. 70a) sfałdowana z prawego boku do 60 cent., podchodzi pod pierwszą kontrafałdę wolantu; a z lewego boku podpięta w dwa pukle, podług gwiazdek i dwukropków, pod bryt tylny. Górny brzeg draperyi sfałdowany podług krzyżyków i punktów, a z brzegów zostawiony gładko, wszyć w pasek od spódnicy. Draperyę tylną *b* trzeba krzyżykiem do krzyżyka w róg szczepić a następnie róg 15 c. nad obrębem przypiąć kokardą ze wstążki. Od 80 do 90 wszywa się brzeg górny gładko, a do 126 sfałdowany w pasek; dalsze podpięcie wskazują krzyżyki i punkta, oraz widoczne jest na ryc. 30. Stanik z tyłu zgrabną fałdowaną baskiną zakończony, ma przody kaftaniczkowe, otwarte, ozdobione ranwersami, a dopełnione plastronem fałdowanym, niewidocznie zapiętym z boku. Plastron dopełnia w górze karczek gładki, 11 cent. długi, zrobiony ze wstawek i materyału sukni, ozdobiony patkami aksamitnemi, 3 cent. szerokiemi; u dołu zakończa go pasek aksamitny bawetowy, 10 cent. szeroki, z boku zapięty. Kołnierzyk 5 cent. wysoki. M...iety ze wstawek z ran...ersami aksamitnemi. Ko...dy z aksamitki 6 cent. szerokiej z atłasowym spodem.

N. 2 i 41. Strojne ubranie letnie. Zobaczyć przód na ryc. 31 w N. 30.

Model do ryc. 2 odrobiony był z białego koronkowego materyału, z białej materyi i z aksamitu wyszytego szmelcowanemi perełkami. Zaś rycina 31 w N. 30, przedstawia suknię z etaminy blado zielonej gładkiej i w rzucik czerwony, ozdobionej czerwonym haftem. Podszewkową spódnicę przykrywa zupełnie, fałdzista w pasek wszyta, spódnica à la paysanne. Przednia draperya *a*, *b* której miary dajemy na ryc. 41, przyszywa się od spodu do brzegu, krótko na biodrach podciętego stanika; przyczem brzeg górny części *a* jest zmarszczony, części *b* przyszyty gładko, a brzegi boczne w górę sfałdowane. Tylny boczny brzeg części *a* podług znaków sfałdowany, podchodzi pod tylny bryt *c*, z którym razem kraje się część splisowaną, na plecy stanika zachodzącą, te ostatnie są mocno wycięte i równie jak przody dopełnione szmizetką. W jaki sposób naddaną w górze w środku, i z boków szerokość bryta *c* sfałdować i pod brzeg stanika podsunąć i jak bryt podpiąć wskazują znaki i widoczne jest na ryc. 2. Rękawy koronkowe pół długie, mogą być bez podszewki. Pasek aksamitny między boczne szwy wpuszczony, zapina się zarówno jak stanik, na kryte haftki, z lewego boku pod fałdowanym plastronem. Szmizetka zakończona z brzegów aksamitnemi ranwersami, jest na ryc. 31 w N. 30, krepowa fałdowana.



N. 1. Suknia letnia z perkalu. Zobaczyć model draperyi na ryc. 39, plecy na ryc. 30 w N. 30 Tyg. mód.

N. 2. Ubranie strojne letnie. Model kroju draperyi na ryc. 41. Przód sukni na ryc. 31 w N. 30.

N. 3—4. Mitenka długa dla małej panienki. Robota szydełkowa z kremowych kłębuszkowych nici, M, D, C, N. 15, albo z jedwabiu czarnego. Próbkę szlaczków i deseniu zdobiącego wierzchnią część mitenki przedstawia ryc. 3; cała mitenka robiona była w ząbki z 7 o. łańcuszka, układające się w kratkę. Model miał 26 cent. długości, przy ręce 12, a w górze 16 cent. obwodu.

N. 5—7. Poduszki do krzeseł ogrodowych. Haft pospieszny z aplikacyą. Deseń do ryc. 6 na ryc. 4 w N. 30 Tyg. mód.

Ponsowy bawełniany *ottoman*, stanowił tło pod haft i podszewkę poduszki, N. 6 mającej 39 cent. długości, 37 tylnej a 43 przedniej szerokości. Zaokrąglenie rogów i wcięcie bocznych brzegów, wskazuje ryc. 4 w N. 30, na której dana jest połowa deseniu do ryc. 6, w naturalnej wielkości. Do haftu służy średniej grubości bawełna, w dwóch cieniach niebieskich i ponsowych, a na aplikacyę szafirowy bawełniany ottoman i gruby niciany materyał w kolorze ècru, przerabiany nitką złotą. Ten ostatni służy na narożniki, na liście i na medaliony otoczone materyałem szafirowym. Ramy obwiedzione są czterema dość grubemi białemi lnianemi nitkami, rzadko przydzierganemi na wewnątrz bawełną jasno niebieską, a na zewnątrz ponsową; zaś na płótno ècru zachodzące brzegi szafirowej aplikacyi, przykrywają trzy nitki bawełny ponsowej przeszyte przez wierzch chińskim jedwabiem, któren ma połysk metaliczny, złoty, srebrny i kolorowy. Do przeszycia bawełny ponsowej, do wyszycia kraty na tle szafirowem i do ściegów krzyżowanych, służy jedwab chiński srebrny. Supełki i wyszycie na liściach w narożnikach robione jedwabiem chińskim niebieskim; haft łańcuszkowy na płótnie i aplikacyi szafirowej dwoma cieniami ponsowemi, a na tle ponsowem niebieskiemi. Do zapełnienia figur na tle środkowem, wskazanemi ściegami, służy jedwab chiński połyskujący kolorowy i srebrny. Gruby sznur w kolorze niebieskim i ponsowym służy do oszycia brzegów. Dla braku miejsca nie dajemy deseni do ryc. 5 i 7.

Tło do ryc. 5 stanowią cztery krzyżujące się kwadraty z ottomanu ponsowego i szafirowego połączone wstawką 6 cent. szeroką z koronki robionej na klockach, kolorami: białym, ponsowym i niebieskim. Na kwadratach niebieskich ścieg łańcuszkowy jest ponsowy a na ponsowych niebieski, do zapełnienia figur użyć jedwabiu chińskingo. Tło do ryc. 7 było z płótna szarego, aplikacya ponsowa przydziergana była bawełną zieloną, żółtą i niebieską, do haftu dodana była bawełna zielona i jedwabie chińskie.

N. 11—12. Ubranie ranne z perkalu gładkiego i w pasy.

Model składający się z kaftanika i spódnicy, odrobiony był z perkalu jasno szafirowego gładkiego i w paski szafirowe i ponsowe, z kokardami ze wstążki ponsowej atłasowej. Obłożenie w pasy przy spódnicy, miało 47 cent. szerokości. Kaftanik z tyłu wpadający do figury, a z przodu luźny, zapięty na guziki zdobią ranwersy w pasy, mające 9 cent. górnej a 3 dolnej szerokości. Kołnierzyk stojący 5 cent. wysoki.

N. 13—14. Mankiet na dwie strony, do dziennych koszul męzkich.

Ryc. 13 i 14 przedstawia mankiet 13 cent. wysoki a 29 szeroki zrobiony z cienkiego płótna, z klejonką w środku, przeznaczony do podróżnego ubrania. Mankiet jest przystębnowany do rękawa paskiem 1 cent. szerokim, ażeby jak to ryc. 13 przedstawia, można było górną jego część pod spód podwinąć, a dolną pokazać, gdy ta się zbrudzi obrócić ją do dołu jak na ryc. 14, a górną wydobyć. Do takich mankietów rozporek rękawa musi być dłuższy, a przy prasowaniu każda połowa z innej strony prasowana.

N. 15—16. Ławka ogrodowa z poduszką haftowaną.

Ławkę z jasnego orzechowego drzewa, zdobią części ażurowo odrobione z lanego żelaza, przyszrubowane do tylnej i do bocznych poręczy. Na drewnianem 38 cent. szerokiem siedzeniu położona jest płaska wysłana poduszka, z bawełnianego, ponsowego ottomanu, ze szlakami aplikowanemi z ottomanu niebieskiego w których półksiężyce i koliste figury są z płótna ècru przerabianego nitką złotą. Haft którego zmniejszony deseń widzimy na ryc. 15, robiony był sposobem wskazanym na ryc. 5—7 kolorową bawełną i chińskiemi jedwabiami.

N. 17—18. Parawan zwijany ogrodowy. Malowanie i frendzla *macramé*.

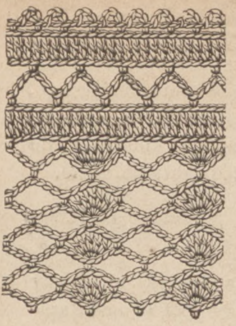
Parawan chroniący od cugu i wiatru, zrobiony z cienkich i wązkich deseczek, daje się z łatwością zwinąć w rulon, dowolnie przenosić i ustawiać. Model ryc. 17 mający 150 cent. wysokości a 196 szerokości, zdobi w górze przyszyta frendzla macramé albo szydełkowa, wyszyta bawełną kolorową; zaś ryc. 18 przedstawia parawan malowany, w guście mozajki japońskiej. Deseń stanowią rozrucone oddzielne gałązki liści, kwiatów i ptaki.

N 24-25. Przykrycie siatkowe na stół albo do kolebki.

Model serwety robionej w jednej sztuce, z nici konopnych, liczył wzdłuż 90 a na szerokość 70 oczek, trzymających 1 cent. w kwadrat, z których 11 o. w koło odchodzi na szlak z zębów dzierganych z brzega. Próbkę jednego zęba dajemy na ryc. 24; tło siatki było z bawełny ciemno ponsowej, a wyszycie robione nićmi konopnemi i dwu nitkową ciemno ponsową filozelą. Brzegi figur obwiedzione były cienkim sznureczkiem złotym.

N. 26. Sukienka pod szyję dla dzieci lat 2—4.

Sukienkę z białej flaneli zdobiły szlaczki haftowane włóczką niebieską, ściegiem krzyżowym i cierniowym. W zwierzchnim materyale przodów z brzegów, przy plastronie zaszyte są cztery $1^1/_2$ cent. szerokie zakładki, u dołu do środka a w górze do ramienia zwrócone, wy-

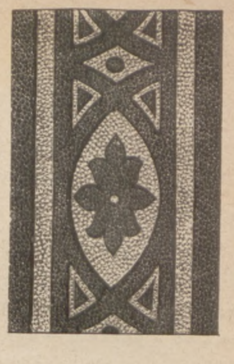


N. 3. Próbka tła i szlaczku brzeżnego do długiej mitenki szydełkowej, ryc. 4.

szyte ściegiem cierniowym. Spódniczkę 22 cent. długą, mającą 275 c. obwodu, układa się w kontrafałdy 6 c. szerokie, przedzielane odstępami 3 cent. szerokiemi, na których wyszyte są szlaczki 9 krzyżyków szerokie. Przyszycie spódniczki do stanika przykrywa pasek 5 cent. szeroki przepięty patkami 4½ cent. szerokiemi. Kołnierz marynarski ma z tyłu 7 cent. wysokości a 24 cent. szerokości.



N. 5—7. Poduszki do krzeseł ogrodowych. Łatwy haft i aplikacya. Zobaczyć także rycinę 4 w N-rze 30 Tyg. mód.



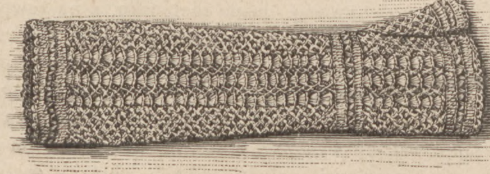
N. 8. Szlaczek do futerału na kubek do picia wód, ryc. 35. Robota ździerana na skórze.

N. 27—29. Sukienka bluzkowa, wycięta, dla dziecka lat 2—5.

Pod sukienkę z przezroczystej etaminy (na modelu z ciemno ponsowej,) podwłóczy się sukienkę z satynki, tego samego lub odmiennego koloru. Staniczek bluzkowy przemarszczony jest w odstępie 1 cent., dwa razy w górze a 3 razy u dołu, i zakończony nagłówkami, z których dolny przykrywa zarazem przyszycie spódniczki 18 cent. długiej, a 130 szerokiej, z wolantem 11 cent. szerokim, tego co spódniczka obwodu. Szlaczki haftowane zdobią spódniczkę i rękawy; kokardy ze wstążki w atłasie 3 i 6 cent. szerokiej. Na ryc. 28 dajemy w naturalnej wielkości próbkę szlaczku wyszytego ściegiem pośpiesznym, na żółtawej etaminie, bawełną kolorową, a na ryc. 29 szlaczek do sukienki z wełnianego materyału, wyszyty kolorowemi jedwabiami i drewnianemi perełkami.



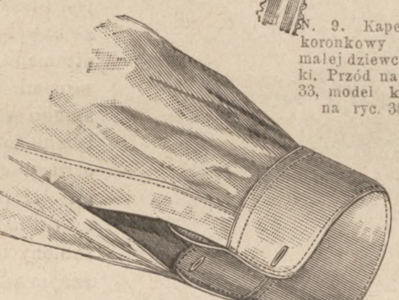
N. 9. Kapelusz koronkowy dla małej dziewczynki. Przód na ryc. 33, model kroju na ryc. 38.



N. 4. Mitenka szydełkowa dla małej panienki. Zobaczyć próbkę ryc. 3.



N. 10. Czapeczka z trykotu dla małego chłopczyka. Zobaczyć przód na ryc. 32.



N. 13. Mankiet wywijany na dwie strony, do koszul dziennych męzkich. Zobaczyć mankiet cały wywinięty na r. 14.



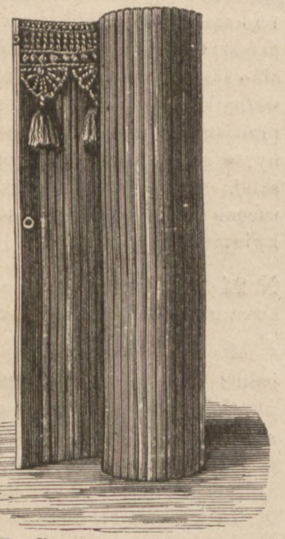
N. 11—12. Ubranie ranne z materyału gładkiego i w pasy.



N. 14. Mankiet do koszul męzkich wywijany na dwie strony. Zobaczyć r. 13.



N. 15. Deseń na poduszkę do siedzenia do ławki ogrodowej ryc. 16. Haft pośpieszny i aplikacya. Zobaczyć także ryc. 4 w N. 30.



N. 17. Parawan zwijany zasłaniający od wiatru, ozdobiony frendzlą *macramé*. Zobaczyć także ryc. 18.

N. 30. Ubranie dla małego chłopczyka.

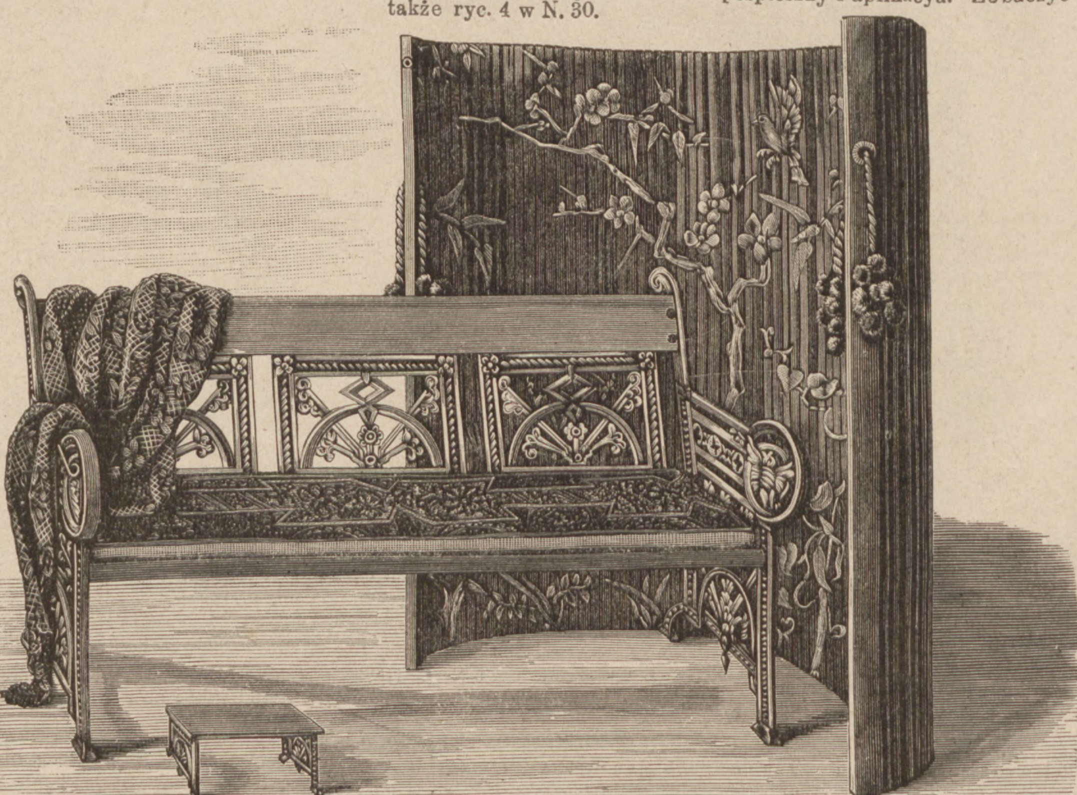
Model odrobiony był z dreliszku w drobną kratkę niebieską i białą; majtki z boku zapinane przypina się na guziczki do stanika z szyrtyngu. Sukienkę z tyłu luźno wciętą, z przodu puszczoną, kraje się podług formy paletocikowej. Fałdy w przodach zapiętych na dwa rzędy guzików zaszywa się przed przykrojeniem, dając z brzegów zapięcia jedną kontrafałdę 3 c. i dwie fałdy 2 cent. szerokie. Między szwy boczne wszywa się pasek 7 cent. szeroki, do którego przyszyte są kieszonki 18 cent. szerokie a 9 głębokie. Mankiety 9 cent. szerokie i kołnierz wykładany 6 cent. szeroki, pokryte są z wierzchu szafirowym atłasem na 1 c. do brzegu niedochodzącym. Brzegi oszyte szafirowym sznureczkiem.

N. 31—40. Sukienka bluzkowa pod szyję, dla dziewczynki.

Na fig. 20 dajemy model kroju i miary bluzki którą robi się bez podszewki. Litera *c* przedstawia połowę pleców które kraje się w jednej sztuce i składa na środku w 2 podwójne, 5 cent. szerokie kontrafałdy, przestębnowane poprzecznie, w odstępie 7 cent. od wykroju szyi; przody *b* w górze złożone w 3 fałdy plisowane, u dołu są trzy razy przemarszczone. Pod otwarty podłużnie wykrój przodów dodany jest fałdowany plastron pod lewą połową przodu przyszyty, a pod prawą na haftki zapinany. Spódniczka mająca 130 cent. szerokości a 22 długości, przyszyta jest do stanika wypustką ze sznureczkiem. Na modelu sukienka z szafirowego perkalu ozdobiona była 6 c. szerokiemi szlakami, na których na tle białem, drukowane były kolorowe figury z różnych powiastek dziecinnych. Z tych szlaków zrobione także mankiety i kołnierz marynarski z ranwersami.



N. 19. Przód sukni do r. 17 w N-rze 30, opis tamże.



N. 16. Ławka ogrodowa z haftowaną poduszką do siedzenia. Zobaczyć ryc. 15 i ryc. 4 w N. 30.

N. 18. Parawan zwijany ozdobiony malowaniem. Zobaczyć ryc. 17.

N. 36. Ubranie z vêtement dla panienki lat 12—14.



N. 20. Parasolik atłasowy.
N. 21. Parasolik koronkowy.
N. 22. Kapelusz słomkowy, ubrany kokardami ze wstążki. Zobaczyć także ryc. 24 w N-rze 30.

Model odrobiony był z lekkiego batystu gładkiego i w paski. Fałdzista spódniczka, szmizetkowe dopełnienie stanika i wstawione w rękawy części kliniaste, były z batystu w paski. Podobnie jak przód vêtement, plecy zapinane na środku na kryte haftki, są także w ząb wycięte, kilka razy w górze przemarszczone i nagłówkiem zakończone, a w pasie związane jak przody, na szarfy wszyte między tylne szwy boczków. Draperyę przednią podpiętą z boków w sposób wskazany na ryc. 36 podpina się bufiasto i spuszcza dłużej z tyłu.



N. 26. Sukienka pod szyję, dla dzieci lat 2—4.

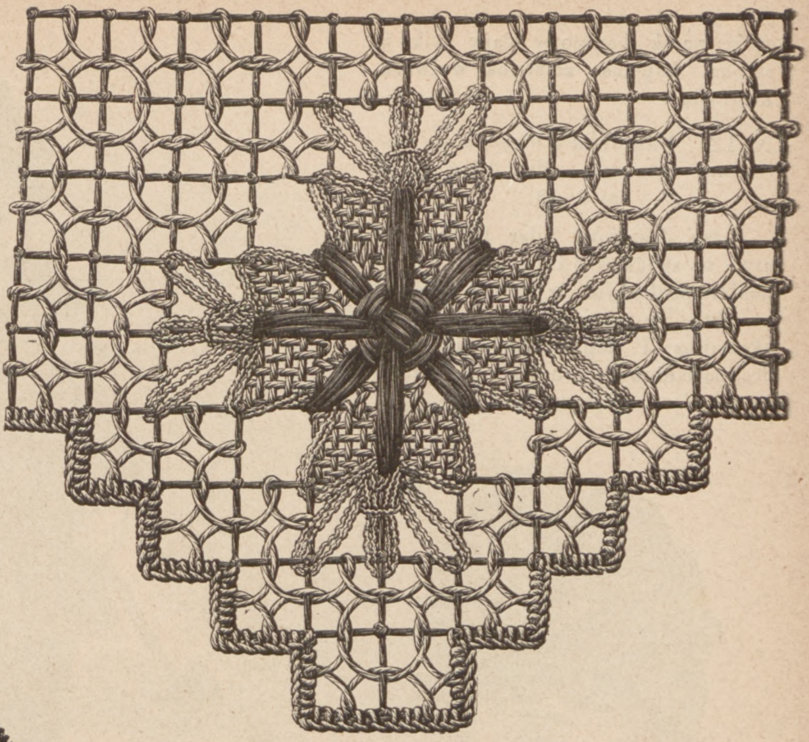
N. 37. Ubranie do picia wód.

Przy sukni zarówno dogodnej jak i eleganckiej, odrobionej z faille koloru brunatnego, przody vêtement podszyte były materyą pomarańczową. Długie vêtement paletotowe, ma plecy obciśle wpadające do figury, krajane razem ze spódnicą, do której dodaje się w środku, potrzebną na zmarszczki ilość materyału. Do przodów otwartych, zakończonych ranwersami, w górze i na wcięciu w pasie przemarszczanemi, a dalej aż do dołu zaprasowanemi w cztery fałdy plisowane, dodany jest suto przymarszczony plastron, z jednej strony przyszyty, z drugiej zapięty z boku na kryte haftki, a na wcięciu w pasie obciśnięty paskiem bawetowym. Duże patki przy kieszeniach, mankiety i kołnierz marynarski z tego co vêtement materyału. Kapelusz słomkowy ubrany tiulem w muszki.

Opis do N-ru 30.

N. 1—3. Teka na rośliny zasuszone.

Składa się z dwóch grubych deseczek drewnianych po 19 centymetrów szerokich, 29 długich, między które wsuwa się równo obcięte ćwiartki bibułki; zewnętrzne przyozdobienie stanowi płaskorzeźba, której deseń daje rycina 2—3. Wązkie rzemyki skórzane służą do zamknięcia teki po umieszczeniu roślin, a pasek zakłada się za kółka dodane przy rzemykach i służy do zawieszenia przez ramię.



N. 24. Koronka z siatki gipiurowej do serwety ryc. 25.



N. 23. Kapotka słomkowa ubrana różami, koronką i aksamitem. Główka z czarnej cienkiej, a rondko z grubej słomy.

N. 7. Toczek dla młodej panienki.

Fasonik grubej żółtej słomki z płaskiem rondem 10 centymetrów wysokiem, opasanem dwoma skosami aksamitu po 16 centymetrów szerokiemi; z przodu dana kokarda z trzech aksamitnych końców, po 10 centymetrów szerokich, po 14 długich przepiętych węzłami, podgarnirowanemi słomkową koronką, 4 centymetry szeroką. Z boku kitka z piórek rajskich.

N. 8. Berecik słomkowy, dla młodej panienki.

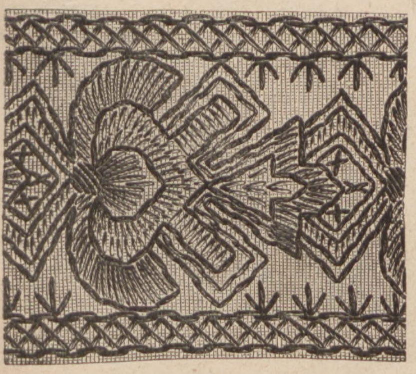
Ma główkę 13 centymetrów wysoką i rondko odstające, 5 centymetrów szerokie, podszyte aksamitem; wierzchem główki upięty skos aksamitny 16 centymetrów szeroki, 52 długi, złączony z boku kokardą z wstążki 6 centymetrów szerokiej; nad kokardą wpięty bukiecik pączków różanych i liści.



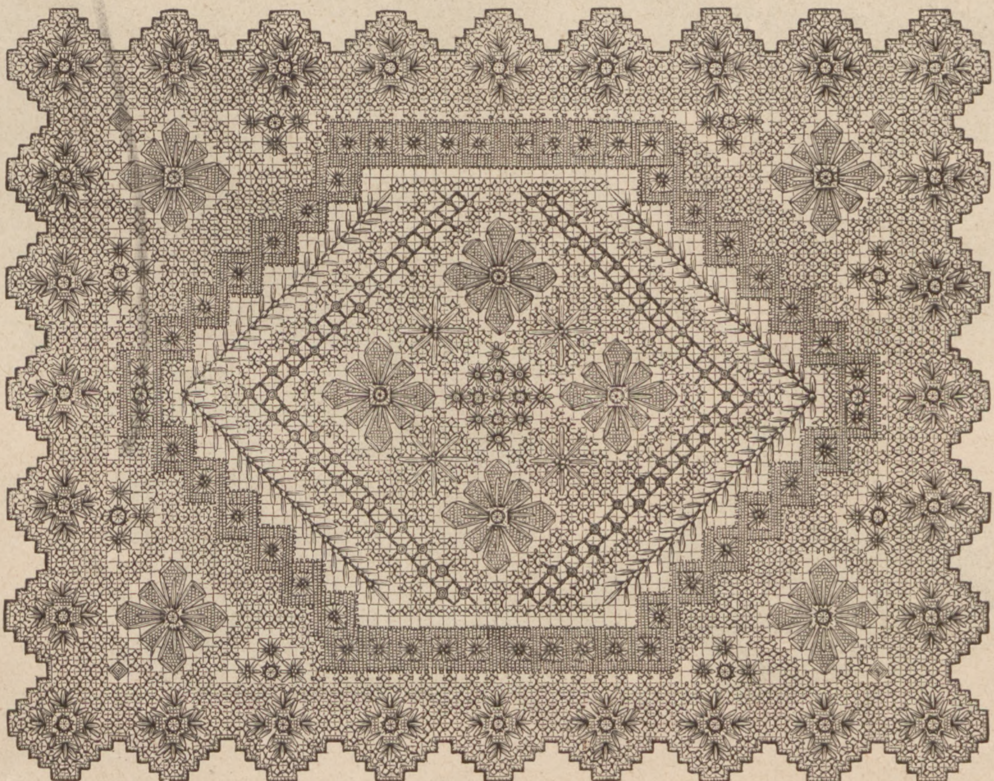
N. 27. Sukienka wycięta dla dzieci lat 2—4. Zobaczyć szlaki haftowane na ryc. 28 i 29.

N. 11. Suknia z vêtement dla młodej panienki.

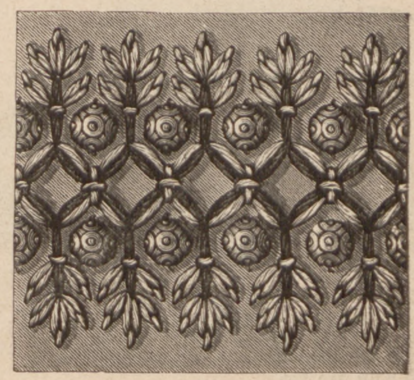
Spódnica z żółtawego, ażurowo haftowanego batystu, przysłonięta vêtement z ponsowego perkalu. Przody i plecy vêtement suto namarszczone wszyte w gładki kar-



N. 28. Szlak haftowany do bluzki r. 27.



N. 25. Serweta siatkowa gipiurowa. Zobaczyć także ryc. 24.



N. 29. Szlak haftowany do bluzki r. 27.

czek; pasek bawetowy dany tylko z przodu. Kapelusz ze słomki w dwóch kolorach.

N. 12. Sukienka z bluzkowem wyciętem vêtement, dla dziewczynki lat 6—8.

Jasny deseniowy fular lub batyst, użyty na spódniczkę i vêtement, z głębokim podłużnym wykrojem szyi z przodu i w plecach, oszytym plisą aksamitną i dopełnionym szmizetką drobno fałdowaną z batystu lub gładkiego fularu. Rękawy krócej krajane, zakończone są fałdowaniem odpowiedniem do szmizetki. Suta kokarda podpina vêtement z boku.

N. 13. Suknia z tuniką.

Stanik bawetowy ma gładkie plecy krajane w całej długości, przody zaś marszczone przyszyte do okrągłego karczka. Tunika z deseniowego jedwabnego bastu (równie jak stanik) ułożona na spódnicy z gładkiego materyału, w połowie długości dana z ażurowego materyału wyszytego w kolorowe pasy, podpięta jest z przodu w zęby. Z boku i na ramionach kokardy.

N. 14—15. Suknia ze stanikiem z kamizelką.

Rycina 14 przedstawia plecy sukni z gładkiego kretonu z pasowanemi szlakami, a ryc. 15 takąż suknię z fularu lub t. p. wełnianego materyału w kolorowe paski. Tunika fartuszkowa, z boków wysoko sfałdowana, z tyłu ma bryt prosty jednym brzegiem spadający aż do dołu, drugim zebrany w fałdy wraz z górnym brzegiem i wszyty w pasek. Krótki stanik z szerokiemi ranwersami, ma przody otwarte na kamizelce z piki lub fularu, podłużnie wyciętej w górze. Płócienny stojący kołnierzyk ze szmizetką związany męską krawatką. Przody u dołu przypięte są jednym wielkim guzikiem do kamizelki. Kapelusz słomkowy podszyty aksamitem, opasany wstążką i przybrany piórami.

(D. n.)



N. 30. Ubranie dla małego chłopczyka. N. 31. Sukienka bluzkowa dla małej dziewczynki.



N. 32. Czapeczka z trykotu dla chłopczyka. Zobaczyć także ryc. 10.



N. 33. Kapelusik koronkowy ubrany wstążką gazową. Zobaczyć ryc. 9, i model kroju na ryc. 38.



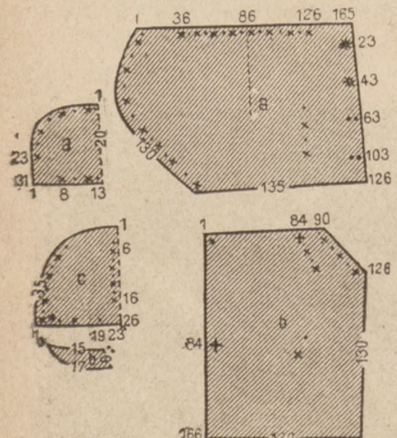
N. 34. Woreczek siatkowy na piłkę.



N. 35. Kubek do picia wód w futerale skórzanym z paskiem do zawieszenia przez ramię.

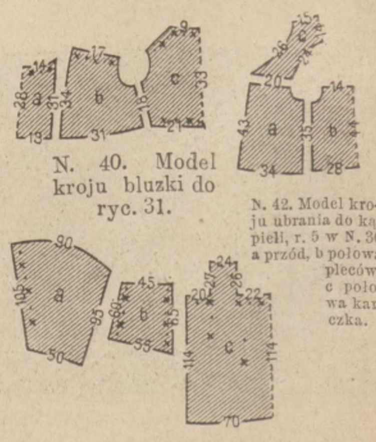


N. 36. Ubranie z vêtement dla panienki lat 12—14. N. 37. Ubranie do wód.



N. 38. Model kroju do kapelusika koronkowego ryc. 9 i 33.

N. 39. Model kroju draperyi do ryc. 1 i do r. 30 w N. 30.



N. 40. Model kroju bluzki do ryc. 31.

N. 42. Model kroju ubrania do kąpieli, r. 5 w N. 30 a przód, b połowa pleców, c połowa karczka.

N. 41. Model kroju do ryc. 2 i do ryc. 31 w N. 30.



Pl. 653.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.